

wersytecie Jagiellońskim. Doktorat uzyskał w 1921 roku, promotorem jego pracy doktorskiej był profesor Władysław Natanson. W 1920 podczas pobytu w Berlinie zetknął się z Einsteinem, uczęszczał na wykłady Maxa Plancka i Maxa von Lauego.

Po studiach uczył w żydowskich gimnazjach w Koninie i Warszawie. Wtedy to napisał pierwsze prace naukowe. W 1930 został asystentem w katedrze Fizyki Teoretycznej na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W 1932 podczas pobytu w Lipsku pisze dwie prace, które stają się początkiem jego międzynarodowej kariery. W pierwszej z tych prac (napisanej razem z holenderskim matematykiem van der Waerdenem) rozwinął tzw. rachunek spinorowy do postaci dającej się wykorzystać w ogólnej teorii względności (van der Waerden wprowadził wcześniej rachunek spinorowy do szczególnej teorii względności). W drugiej pracy Infeld znalazł postać równania Diraca w czasoprzestrzeniach ogólnej teorii względności.

W 1936 roku zostaje stypendystą w Instytucie Studiów Zaawansowanych w Princeton i rozpoczyna współpracę z Albertem Einsteinem. Wynikiem tej współpracy był prace dotyczące równań ruchu w ogólnej teorii względności (tzw. teoria Einsteina-Infelda-Hoffmanna). Podczas dwuletniego pobytu w Princeton Infeld przy współpracy z Einsteinem napisał książkę *The Evolution of Physics*, która stała się międzynarodowym bestsellerem (w ciągu siedemdziesięciu lat od chwili publikacji miała ponad 200 wydań).

**Bertrand Arthur William Russell**, 3. hrabia Russell (ur. 18 maja 1872 r. w Ravenscroft, zm. 2 lutego 1970 r. w Penrhyndeudraeth, Walia) – angielski arystokrata, logik, matematyk, filozof, myśliciel, działacz społeczny i eseista. Laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1950.

Bertrand Russell był współtwórcą i animatorem, programu logicyzacji matematyki. W dziele *Principia Mathematica* podał sposób redukcji aksjomatów arytmetyki liczb naturalnych do języka logiki. Russell był także jednym z najwybitniejszych filozofów wieku XX. Największą sławę filozoficzną przyniosła mu teoria deskrypcji – wyłożona w roku 1905 w artykule „On denoting” („O denotowaniu”). Należy ona do dnia dzisiejszego do kanonu współczesnej filozofii analitycznej.

# Tadeusz Kotarbiński Leopold Infeld Bertrand Russell

## RELIGIA I JA

Tadeusz Kotarbiński

### Przykład indywidualny kształtowania się postawy wolnomyślicielskiej

Nie mogę odtworzyć dawnych przeżyć na podstawie dokumentów, te bowiem spłonęły w ogólnej pożodze Warszawy pod koniec wojny ostatniej. Muszę polegać wyłącznie na wspomnieniach, dobrze już zatartych, gdyż sięgających wstecz dość daleko poza półwiecze. Najdawniejsze są chyba te, które pochodzą z początków lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia... Zasobny dwór ziemiański w Radzyminskim, urzekający dostojnością sędziwego domu. Dobrobyt tego domu stwarzał w duszy dziecka złudzenie, że wszystkim w ogóle dobrze jest na świecie. W słoneczny letni poranek wybiegało się do ogrodu pełnego niespodzianek. Jakże misterne są dzwoneczki fuksji z kropelkami świeżej rosy na barwnych płatkach... A teraz spójrz wyżej! Tam wdzieczą się różowe gwiazdki w ciemnym listowiu głogów... Złota słonecznego nieprzebrana obfitość, rzeka złotych promieni spływa nieustannie z świetlistych niebios... Pszczoły i muszki przeraźliwie brzęczą dokoła cichym akordem. Motyle, zawsze ubrane odświętnie, polatują sobie nad łąką szczęśliwe i radosne...

Z *Lirenki* Teofila Lenartowicza przepisywało się do własnego zeszytu urocze wiersze i powtarzało się ustami „Wiochny”: „Jak to dobrze Bóg zrobił, że ten piękny świat stworzył! Tak go ślicznie ozdobił, tyle kwiecica namnożył...” Niewątpliwie, stałym podtrzymaniem złudnego poglądu na świat jest piękno roślinności i krajobrazu. Stwarza ono pozór dobrotliwej harmonii we wszechbycie, zwłaszcza jeśli się samemu żyje w dostatku i wśród wygód i usług ze strony istot pomagających. A widok nieba gwiazdzistego z jego wiekowym ładem – tę ułudę umacnia, lub odwrotnie, ten właśnie widok wraz z obserwowaną stale życiodajną funkcją słońca stwarza w naszych umysłach fantazmat powszechnego, rozumnego i opiekuńczego ładu, natomiast wizja przyrody żywej, pięknej i pełnej objawów mistrzostwa w funkcjach życiowych, przyłącza się jako dodatkowe świadectwo owej prawdy rzekomej. Olbrzymi głaz rozkosznej ułudy przyniata rodzącą się w męce i słabą w początkach refleksję krytycznego rozumu, która jednak nabie-

### O autorach

**Tadeusz Marian Kotarbiński** (ur. 31 marca 1886 r. w Warszawie, zm. 3 października 1981 r. w Aninie) – jeden z czołowych polskich filozofów, logików i etyków, przedstawiciel szkoły lwowsko-warszawskiej. Syn Miłosza Kotarbińskiego - malarza i Ewy Koskowskiej - pianistki.

Absolwent XVIII L.O. im. Jana Zamoyskiego w Warszawie. Studiował filozofię na uniwersytecie we Lwowie pod kierunkiem Kazimierza Twardowskiego. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, rektor Uniwersytetu Łódzkiego (1945-1949), prezes PAN w latach 1957-1962, członek wielu towarzystw naukowych, polskich i zagranicznych (m.in. przewodniczący Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, prezes Institut International de Philosophie). Odznaczony Orderem Budowniczych Polski Ludowej.

Twórca reizmu – materialistycznej (przy czym termin fizykalizm uznaje się tu czasem za bardziej precyzyjny) koncepcji filozoficznej, pionier i współtwórca ogólnej teorii sprawnego działania, zwanej prakseologią, autor etycznej koncepcji opiekuna społecznego. Kotarbiński jest jednym z najbardziej znanych polskich filozofów analitycznych. Międzynarodową pozycję zawdzięcza swoim oryginalnym koncepcjom: systemowi filozoficznemu zwanemu konkretyzmem – rodzajowi materialistycznego monizmu mającemu swoje źródła w semantycznych analizach pojęć filozoficznych; i prakseologii – nowej dziedzinie nauki będącej teorią sprawnego działania. Dodatkowo, w Polsce, rozgłos uzyskał dzięki oryginalnej kontynuacji Twardowskiego zasad ścisłego myślenia oraz aktywnej działalności społecznej i wrażliwości na wszelkie przejawy społecznej niesprawiedliwości. Był on filozofem na starożytną modłę, z jednej strony tworzył i propagował teorie filozoficzne, z drugiej był przykładem godziwego życia.

**Leopold Infeld** (ur. 20 sierpnia 1898 w Krakowie, zm. 15 lutego 1968 w Warszawie) – polski fizyk teoretyk, autor prac z ogólnej teorii względności, teorii pola i elektrodynamiki.

Pochodził z rodziny żydowskich kupców. Ukończył szkołę handlową, po czym studiował fizykę (początkowo wbrew woli ojca) na Uni-

## CO POWINNIŚMY ROBIĆ?

Chcemy stać o własnych siłach i patrzeć na świat bez zmużenia powiek – na jego dobre i złe strony, jego piękno i brzydotę; chcemy widzieć świat takim, jakim jest, i nie odczuwać przed nim lęku.

Należy podbić świat inteligencją, a nie odnosić się doń z niewolniczą uległością wypływającą z przerażenia, jakie w nas budzi. Pojęcie Boga bierze swój początek w starodawnym wschodnim despotyzmie. Jest to pojęcie bezwarunkowo niegodne wolnych ludzi. Gdy słyszy się w kościele ludzi, którzy poniżają się mówiąc, że są nędznymi grzesznikami itd., wydaje się to czymś godnym wzdargi, czymś, co nie przystoi szanującym się istotom ludzkim.

Powinniśmy nie upadać na duchu i patrzeć światu prosto w twarz. Powinniśmy uczynić nasz świat możliwie jak najlepszym. I chociażby rezultat nie odpowiadał naszym życzeniom, to jednak będzie lepszy od tego, co zrobili ze świata chrześcijanie w ciągu minionych stuleci.

Dobrze urządzone świat potrzebuje wiedzy, dobroci i odwagi. Nie potrzeba mu żalów i westchnień za przeszłością ani zakuwania w kajdany swobodnej inteligencji za pomocą słów wyrzeczonych niegdyś przez ignorantów. Potrzebuje on śmiałych poglądów i swobodnej inteligencji. Potrzebna mu jest nadzieja na przyszłość, a nie oglądanie się wstecz.

Ufamy, że przyszłość, którą nasza inteligencja może stworzyć, pozostawi daleko za sobą wszystko to, cośmy zdziałali w przeszłości.

ra coraz większej prężności i w końcu odrzuca precz brzemie kardynalnego błędu. Zanim to jednak nastąpi, osobowość dziecka trwa w atmosferze bajki z tysiąca i jednej nocy i kształtuje się w niej dobrze i pięknie aż do chwili przełomu.

Jak bardzo byliśmy szczęśliwi w dzieciństwie my wszyscy, którzy czuliśmy się pod bezpośrednią opieką „Matki Boskiej”. Należałem i ja do tych oddanych pod Jej opiekę – przez matkę, która w 46 lat potem na łożu śmierci czytała nie modlitewnik, lecz „Obronę Sokratesa”... Ale pamiętam spełnienie zobowiązania: siedmioletniego chłopca matka zawiozła do Częstochowy, by tam przed cudownym obrazem przystąpił do pierwszej komunii po odbyciu pierwszej spowiedzi... Kult Madonny tchnie łagodnością uczuć dobrotliwych. Kojąco i uszlachetniająco działają narkotyki nabożeństwa majowego, głęboko zapadają w duszę i dobroczynnie urabiają podświadomość symbole litanijnych wersełów... Dobrze było podrostkowi z tym wszystkim i czuł się on urabianym ku dobru. W letnią słoneczną niedzielę jeździło się do pobliskiego kościoła na sumę... Cóż to za teatr! Jaki wspaniały teatr! Księża i ministranci grają sztukę o potężnym napięciu ekspresji, a tłum ludu, wypełniający nawę kościelną, uczestniczy w owym misterium bynajmniej nie jako widz jedynie, lecz jako chór współczynny. Ci ludzie prości nie ujmują pojęciowo teologicznego sensu liturgii, lecz łączą się sercem z ekspresją odwiecznych symboli, wyczuwając, że rozpamiętuje się i uprzytamnia sobie sprawy największej wagi. Nie rozumieją, co znaczy „kyrie elejson”, i obce im są wymyślne koncepcje transsubstancjacji, ale gdy kielich wśród ciszy zupełnej unosi się ponad pochyloną głowę duchownego, wzniesiony na rękach ku górze wyciągniętych – wówczas dusza zbiorowa zebranych w kościele świadków misterium unosi się wzwyż wraz z rytualnym pucharem w akcie zbiorowej sublimacji... Msza, ujmowana jako dzieło sztuki, jest formą równie uprawioną, jak oratorium, jak pochód z transparentami dla uczczenia publicznej uroczystości, jak symfonia wreszcie lub inny twór muzyki czystej. I tak jest przeżywana przez ogół wiejski zebrany w kościele. Ukończona, przechodzi znajomym i wdrożonym torem w akt wspólnego uniesienia i porywa za sobą każdego z obecnych (jeśli nie wyszło w nim serce do cna), gdy się rozlegnie wstrząsające sklepieniami kościoła unisono prastarej pieśni, której pierwsze słowa brzmią: „Święty

Boże, święty, mocny, święty a nieśmiertelny”, i która kulminuje w rozpaczliwym wołaniu: „Od powietrza, głodu, ognia, wojny wybaw nas, Panie”. Tak, bez wątpienia, najtrzeźwiejszy, najmniej na nastroje podatny sceptyk musi przyznać, że nabożeństwo może być i bywa uczuciowym przygotowaniem psychiki ludzkiej do przeżyć trudnych i czynów ważnych. Czy nie mogłoby – rzucimy już tu nawiasem – pełnić tej funkcji nawet względem ateistów, gdyby je uniezależnić od wszelkich wmówień irracjonalnych, a pozostawić całą jego zawartość ekspresyjną i moralnie symboliczną?

A spowiedź... Toż to instytucja w zasadzie zbawienna. Człowiek potrzebuje jakiejś techniki katarktycznej, jakiejś metody oczyszczania swego wnętrza z urazów, więc i z udreki wyrzutów sumienia. Ulgą jest dlań zwierzyć komuś życzliwemu a dyskretnemu gnębiącą tajemnicę własnego złego czynu i naradzić się z nim ufnie, niby z sobą samym, nad tym, jak wyrządzoną krzywdę naprawić, jeśli się da, jak uzyskać z powrotem prawo do moralnego szacunku, jaką wobec siebie samego zastosować dyscyplinę psychiczną, by się utwierdzić w dobrej woli i w oporze przeciwko zdrożnym pokusom i podszeptom. Niepoważne traktowanie instytucji spowiedzi zdołało ją zdyskredytować, a nawet obrócić w narzędzie łatwego wymigiwania się od istotnej odpowiedzialności, jednak obserwuje się również dobroczynne skutki konfesjonau u ludzi wierzących, w zetknięciu ze spowiednikami biorącymi serio swoje zadania i dorastającymi do nich duchowo.

Wielkie to szczęście wierzyć w istnienie Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi, i w ład moralny przezeń ustanowiony w ogromie wszechbytu, i w Jego opiekę stałą i pomoc, i mieć w Nim realny wzór doskonałości, i być przeświadczonym, że prawa rzeczywistości mają sens etyczny, i że przyroda po to istnieje, by człowiek mógł z niej korzystać dla podtrzymania swych sił w pochodzie wzwyż, ku szczytom sublimacji, i że jest od kogo dowiedzieć się o tym na pewno, gdyż Bóg objawił ludziom prawdy o sprawach najważniejszych, i że nasi najbliżsi, nasi ukochani nie poumierają nigdy naprawdę i nie utracimy ich naprawdę, lecz – jeśli zasłużymy na to – spotkamy się z nimi w życiu przysłym, wspaniałym, radosnym i nieskończonym. Pamiętam, dobrze pamiętam, jedną z chwil uświadomienia sobie takiego szczęścia. Miałem wtedy pewno jakie dwanaście lat. Było lato. Rozmy-

istniał w dalszym ciągu.

Podalem tylko jeden przykład. Ale jest dużo innych sposobów, za pomocą których w obecnej chwili Kościół przez obstawanie przy tym, co nazywa moralnością, skazuje najrozmaitszych ludzi na niezasłużone i zbyteczne cierpienia. I naturalnie jest on w swej przeważającej części przeciwnikiem postępu i wszelkich ulepszeń dążących do zmniejszenia ilości cierpienia na świecie, ponieważ opatrzył etykietą moralności zbiór małostkowych przepisów postępowania, które nie mają nic wspólnego ze szczęściem ludzi.

Gdy się mówi o konieczności zrobienia tej lub owej rzeczy, która przyczyniłaby się do szczęścia ludzkości, Kościół odpowiada, że ten cel jest mu obcy. „Cóż wspólnego może mieć szczęście ludzi z moralnością? Zadaniem moralności nie jest uszczęśliwianie ludzi, lecz przygotowanie ich do życia wiecznego”. To pewne, że ludzie przygotowani w ten sposób nie wydają się zdolni do życia ziemskiego.

#### STRACH JAKO PODSTAWA RELIGII

Religia jest oparta przede wszystkim i głównie na strachu. Jest to częściowo lęk przed nieznanym, a częściowo, jak już mówiłem, pragnienie posiadania jak gdyby starszego brata, który stanie po naszej stronie we wszystkich kłopotach i sporach. Lęk jest fundamentem tego wszystkiego – lęk przed tajemnicą, obawa porażki, lęk przed śmiercią. Strach rodzi okrucieństwo, nic więc dziwnego, że okrucieństwo i religia szły zawsze ręką w rękę. Lęk jest podstawą ich obu.

Zaczynamy teraz cokolwiek pojmować rzeczy otaczające nas na tym świecie i opanowywać je po trochu za pomocą nauki, która utorowała sobie drogę krok za krokiem, wbrew chrześcijańskiej religii, wbrew Kościołowi, pomimo opozycji wszystkich starych przepisów.

Nauka może nam pomóc przezwyciężyć ten tchórzliwy strach, w którym ludzkość żyła przez tyle pokoleń. Nauka i nasze serca mogą nas nauczyć rezygnacji z poszukiwania urojonej podpory, z wynajdywania sobie sprzymierzeńców w niebie, i używania naszych sił raczej do tego, żeby uczynić z tego świata miejsce, w którym żyć warto, a nie piekło, które zrobiły z niego Kościoły w ciągu minionych wieków.

nak, że jej wyznawcy byli w większości bardzo złymi ludźmi. Można skonstatować ciekawy fakt, że im intensywniejsza była religijność danego okresu, im głębsza wiara w dogmat, tym większe było okrucieństwo i tym gorszy ogólny stan rzeczy.

W tak zwanych wiekach wiary, gdy ludzie rzeczywiście wierzyli we wszystkie twierdzenia religii chrześcijańskiej, mieliśmy tortury inkwizycji, miliony nieszczęśliwych kobiet spalono jako czarownice i nie było okrucieństwa, którego by się nie dopuszczono na wszelkiego rodzaju ludziach w imię religii.

Rozglądając się po świecie wprędce spostrzegamy, że każdy, choćby najmniejszy wzrost uczuć humanitarnych, każda reforma kodeksu karnego, każdy krok w kierunku zmniejszenia niebezpieczeństwa wojny, każda próba poprawy położenia ras kolorowych lub złagodzenia niewolnictwa, każdy postęp moralny, który się udało osiągnąć, był stale zwalczany przez zorganizowane Kościoły całego świata.

Oświadczam po dojrzałym namyśle, że religia chrześcijańska w postaci, jaką jej nadały Kościoły, była i jest jeszcze głównym nieprzyjacielem moralnego postępu świata.

#### JAK KOŚCIOŁY OPÓZNIŁY ROZWÓJ POSTĘPU

Będziecie może uważali, że posuwam się za daleko utrzymując, że te stosunki trwają nadal. Jestem innego zdania. Weźmy rzecz następującą. Musicie mi wybaczyć, że o niej wspomnę. Jest to nieprzyjemny fakt, ale Kościoły zmuszają nas czasem do przytaczania niemiłych rzeczy.

Przypuśćmy, że w naszym dzisiejszym świecie niedoświadczona dziewczyna poślubi syfilityka. W tym wypadku Kościół katolicki powiada: „Sakrament małżeństwa jest nierozzerwalny. Jesteście złączeni na całe życie” – i kobiecie tej nie wolno użyć żadnych środków, aby uniknąć wydania na świat syfilitycznych dzieci.

Takie jest stanowisko Kościoła katolickiego. Twierdzę, że jest to szatańskie okrucieństwo. Żaden człowiek, którego przyrodzone uczucia nie zostały stępione przez dogmat, lub który nie jest całkowicie pozbawiony zdolności odczuwania cudzego cierpienia, nie byłby zdolny utrzymywać, że jest słuszne i właściwe, aby podobny stan rzeczy

ślałem sobie wśród ciszy leśnej i stało mi się jasnym to właśnie, lecz nie to przede wszystkim. Raczej to, jak bardzo muszą być nieszczęśliwi ci, którzy nie wierzą.

I wkrótce potem popadłem sam w gehennę takiego nieszczęścia. Rozwiała się w nicość pajęczyna ułudy. Po prostu przestałem wierzyć w jawną nieprawdę. Przejrzałem całą bezzasadność wszystkich wywodów katechizmu. Nie, nie, to dobre dla dzieci... Nie dam się zwodzić. Spojrzę prosto w twarz autentycznej rzeczywistości... Nie łudźmy się. Trwanie moje i moich ukochanych i wszystkich w ogóle osób kończy się wraz z życiem naturalnym, tak jak kończy się życie mego przyjaciela psa, którego nieśmiertelności nie przewiduje się w katechizmie, podobnie jak nie przewiduje się nieśmiertelności muchy, konającej na lepie. Żaden Bóg nie opiekuje się ludźmi. Są oni pozostawieni sami sobie, jak wszystkie twory przyrody. Te powstały w drodze ewolucji w walce o byt, a my, ludzie, wyłoniliśmy się w drodze ewolucji z ciał przodków zwierzęcych. Chłopiec otrząsnął się z ułudy i przepadła szczęśliwość dziecięca. Chłopiec poczuł się skazańcem, tworem skazanym na śmierć. Powiało niebezpieczeństwem cynizmu. Bo dla czegoż by się miał ktoś rozumny krępować czymkolwiek, skoro dziesięcioro bożego przykazania zawisło w próżni... Czytało się to i owo z etyki i jej dziejów... Przeszło się przez relatywizm i utylitaryzm... I jeśli nie ugrzęzło się w amoralizmie, to dlatego, że działały czynniki zbawiennie kształtujące: otoczenie w postaci dusz szlachejnych, aura patriotyzmu i protestu przeciwko obcej przemocy, wyczuwanego jako obowiązek etyczny, wiejska przyroda, wyczuwana jako świat piękna; dobra muzyka rozbrzmiewająca w domu na co dzień i wzbudzająca jakoś bezpośrednio dodatnie w duszy nastroje, a na tym tle wysiłek umysłu z trudem, ale i ze skutkiem kształtującego międzyludzkie, społeczne, czy to laickie uzasadnienie moralności. Byłoby jednak czarną niewdzięcznością ze strony piszącego te słowa, gdyby nie uznał, że jednym z ważnych czynników było i jest przejęcie się od dziecka czią i zachwytem wobec świętych dlań ongi postaci idealnych, które stawiała mu przed oczy jako rzekomą rzeczywistość bań religijna. Te postaci, przede wszystkim Jezus, wcielenie bezinteresownej, czynnej i bezgranicznie ofiarnej dobroci i gorliwego, bezkompromisowego głoszenia przeświadczeń o tym, jak żyć należy, i jego matka, obraz łagodności i dobrego

serca... Oczywiście, urzekały chłopca same te cnoty właśnie i powiązanie ich z kościołem, nabożeństwem, sakramentami, religią nie było wcale konieczne, było tylko faktyczne. A fakty tego rodzaju powtarzają się i zdarzają się wielokrotnie w biografjach ludzi.

Z tego wszystkiego, co wyżej, widać jasno, że droga zerwania z religią w omawianym przypadku prowadziła poprzez uświadomienie intelektualne, poprzez krytykę tradycyjnych pouczeń z punktu widzenia ich sensowności, zasadności, prawdziwości. Nie był to bynajmniej bunt serca, przeciwnie, dom opustoszały i ociemniały, dom, w którym zabrakło światła prawdy, opuszczało się z tęsknotą, pozostawiając na jego ścianach miłe sercu obrazy, skoro doszło się do przekonania, że nie są one portretami istot rzeczywistych, lecz rojeniami pomyłonej wyobraźni. Nie było w tym rozwodzie ani trochę szyderstwa w stosunku do tego świata idealnego, który się kochało w dobie wiary. Apostata stał się ateistą, nie bezbożnikiem. A wielka to, wedle mego rozumienia, tych słów różnica. Ateizm jest postawą intelektualną, przeświadczeniem z rubryki sądów egzystencjalnych. Ateista, jako taki, sądzi po prostu, że nie istnieje Bóg (przy katechizmowym rozumieniu tego terminu, pełnego sprzeczności i fantastyki). Odrzuca tedy w konsekwencji interpretację Biblii jako objawienia bożego i za nic sobie ma wszelkie dowody, w których się to czy owo uzasadnia przez powołanie się na egzystencję Boga lub na autorytet rzekomego słowa bożego. „Bezbożnik” – to w moim rozumieniu arogant w odniesieniu do czci-godnych elementów religii. Jego stosunek do ideałów religijnych jest szyderczy. Nie ma żadnego powodu, by ateista musiał być bezbożnikiem.

Na szyderstwo zasługuje natomiast uporczywe trzymanie się nieprawdy, argumentacja wykretna, wreszcie i przede wszystkim obłuda oraz inne wady i przywary, tak często spotykane u ludzi, sytuacyjnie, a zwłaszcza zawodowo związanych z ortodoksją religijną. Łatwe to pole harców polemicznych, a życie kleru oraz dzieje Kościoła dostarczają nieprzebranego mnóstwa okazji do przygważdżania wszeteceństw konstataowanych in flagranti. Brudne i krwawe plamy na kartach dziejów papieżstwa, zbrodnie inkwizycji, wyczyny ciemnogrodu, pozorna świątobliwość rzekomego celibatu księży, z którego ludziska nagminnie śmieją się po kątach – to wszystko zdolne jest niejednego

Niechajże więcej na wieki nikt z ciebie owocu nie je..., a Piotr (następnego ranka) rzekł mu: «Mistrzu, oto figowe drzewo, któreś przeklął, uschło». Jest to bardzo dziwna opowieść, ponieważ pora owocowania fig jeszcze wtedy nie nadeszła i doprawdy trudno było brać to drzewu za złe.

Nie, stanowczo nie zdaje mi się, żeby Chrystus czy to pod względem mądrości, czy też dobroci stał tak wysoko, jak niektóre postaci historyczne. Sądzę, że z tego punktu widzenia postawiłbym Buddę i Sokratesa wyżej od niego.

#### CZYNNIK UCZUCIOWY

Jak to już powiedziałem, nie sądzę, aby prawdziwy powód, dla którego ludzie przyjmują religię, miał coś wspólnego z rozumowaniem. Ludzie stają się religijni z pobudek uczuciowych. Często się słyszy, że to bardzo źle napadać na religię, ponieważ jest ona źródłem cnoty. Tak mi przynajmniej mówiono; sam tego jakoś nie zauważyłem.

Samuel Butler sparodiował ten argument w swojej książce *Powrót do Erewhonu*. Bohater tego utworu, niejaki Higgs, przybywa do nieznanego kraju, bawi tam jakiś czas, po czym ucieka balonem. W dwadzieścia lat później udaje się znów do tego kraju i zastaje tam nową religię, która nakazuje go czcić pod nazwą Syna Słońca i mówi o jego wniebowstąpieniu. Higgs zjawia się w wilię dnia, w którym Erewhonczycy obchodzą Święto Wniebowstąpienia, i słyszy, jak profesorowie Hanky i Panky mówią do siebie, że nigdy nie widzieli słynnego Higgsa i wcale nie mają do tego ochoty. Są to arcykapłani religii Syna Słońca.

Oburzony podróżnik zbliża się do nich i oznajmia: „Zdemaskuję tę całą szarlatanerię i powiem ludziom, że jestem tylko zwykłym człowiekiem i że wzbilem się w powietrze balonem”. Ale oni mu odpowiadają: „Nie powinien pan tego uczynić, ponieważ moralność naszego kraju jest ściśle związana z tym mitem i gdyby pewnego dnia Erewhonczycy dowiedzieli się, że nie wstąpił pan do nieba, staliby się wszyscy złymi”. Higgs daje się przekonać i odchodzi bez słowa.

Myśl przewodnia jest więc taka: bylibyśmy wszyscy występnymi, gdybyśmy nie trzymali się wiary chrześcijańskiej. Wydaje mi się jed-

nia ani na tym, ani na tamtym świecie. Jestem pewny, że człowiek prawdziwie dobry nie szerzyłby na świecie podobnych trwóg i obaw.

Chrystus powiada jeszcze: „Pośle Syn człowieczy anioły swoje, a oni zbiorą z królestwa jego wszystkie zgorszenia i tych, którzy nieprawość czynią; i wrzucą ich w piec ognisty, tam będzie płacz i zgrzytanie zębów” – po czym rozwodzi się w dalszym ciągu nad płaczem i zgrzytaniem zębów. Wzmianki o tym następują jedna po drugiej i dla czytelnika jest zupełnie widoczne, że Chrystus musiał znajdować pewną przyjemność w przewidywaniu płaczu i zgrzytania zębów, bo inaczej nie powtarzałoby się to tak często.

Nie zapomnieliście pewnie przypowieści o owcach i kozłach, gdzie mówi się, jako to podczas drugiego przyjścia Syn człowieczy odłączy owce od kozłów i powie kozłom: „Idźcie ode mnie przekłęci w ogień wieczny”. I Chrystus ciągnie dalej: „I pójda ci na męki wieczne”. Następnie powiada znowu: „A jeśli cię gorszyła ręka twoja, odetnij ją; bo lepiej jest tobie ułomnym wniknąć do żywota, niżeli dwie ręce mając iść do piekła w on ogień nieugaszony, gdzie robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie”. Powtarza się to parokrotnie.

Muszę stwierdzić, że ta nauka, według której ogień piekielny jest karą za grzechy, jest okrutna. Doktryna ta upowszechniła okrucieństwo i dała światu całe pokolenia okrutnie torturowanych ludzi, a Chrystus Ewangelii, jeśli się go bierze takim, jakim go przedstawiają jego dziejopisowicze, musi niewątpliwie ponosić za to częściową odpowiedzialność.

Są jeszcze inne, chociaż mniej ważne niedociągnięcia w nauce Chrystusa. Na przykład historia świń gerazeńskich, o których opowiadają Marek i Mateusz. Nie było to z pewnością przejawem dobroci dla świń pozwolić w nie wejść demonom, skutkiem czego biedne zwierzęta wpadły do morza i utonęły. Musicie pamiętać, że Chrystus był wszechmocny i mógł po prostu kazać demonom się wynieść, ale on zamiast tego umieścił je w swiniach.

Dzieje drzewa figowego również przedstawiają się dość zagadkowo. Wiecie zapewne, co się z nim stało. „A drugiego dnia (Jezus) łaknął; i ujrzawszy z daleka figowe drzewo, mające liście, przyszedł, jeśli by snadź co na nim znalazł; a gdy do niego przyszedł, nic nie znalazł, tylko liście, bo nie był czas figom. A odpowiadając Jezus rzekł mu:

odstręczyć od religii samej, skoro zraża osoby uczciwe do ludzi działających w jej imieniu. Co więcej, ludzie ci i oparta na nich organizacja tak pospolicie obstają przy siłach wstecznych i tak często podpierają zmurszałe trony itp., że wszystko, co jako tako lewicowe, musi zwykle przeciwstawiać się im stanowczo. Toteż odejście od religii odbywa się nader często w drodze takiego właśnie procesu, z grubsza i ogólnikowo – przez antyklerykalizm do antyreligijności. W rozważanym przypadku nie było tak. Kierunek był odwrotny. Skoro pogląd na świat, zawodowo głoszony przez duchowieństwo, ujawnił się jako ułuda, powstał problem stosunku do jej rzeczników. Autor niniejszego roztrząsania nie zajmuje względem tej warstwy społecznej postawy wyłącznie negatywnej. Dziwi się raczej temu, że można jakoś w sposób dlań niewytłumaczony godzić pewne napięcie inteligencji z wyznawaniem jaskrawych irracjonalności, albo też godzić zacność osobistą z deklarowaniem sentencji, w które się nie wierzy. Jest on wszelako pełen uznania dla osób – czy nie przeważnie płci żeńskiej – które z wiarą naiwną łączą dobroczynność czystej wody i znajdują radość w opiekowaniu się tymi, którzy najbardziej potrzebują opieki. I odczuwa żywą sympatię dla tych spośród duchownych, którzy swe powołanie upatrują w dopomaganiu duszom prostym na ciężkiej drodze życia, duszom nie dorosłym do samodzielności myślenia krytycznego i potrzebującym pociechy w postaci praw moralnych owiniętych w opłatek świętej ułudy.

Dlatego więc byłoby jego marzeniem, by w krajach o tradycji chrześcijańskiej kościoły nie stawały się w coraz większej mierze miejscami zebrania kół niedostatecznie oświeconych, co prowadzi do poniechania z czasem wszystkich funkcji swoistych ołtarza, chóru i ambony, do zburzenia w przyszłości przeważnej ilości świątyń, podobnie jak wyburzono po miastach zbędne baszty strzelnicze i mury obronne, i do przeznaczenia pozostałych na muzea lub na takie czy inne cele użytkowe. Czy nie lepiej by było otworzyć drzwi kościołów dla ateistów rozumiejących walory sztuki pięknej, zwanej nabożeństwem, i literatury, zwanej Pismem świętym, i działań po prostu dobrych, do których ewangelia zachęca, a które zbędnie uzasadnia się z ambony racjami sakralnymi. Można by wspólnie pielęgnować te piękne dramatokoncerty i rozczytywać się wspólnie w tej właśnie tradycyjnej literaturze,

dopomagać sobie w działalności samopomocowej i tutelarnej i w pielęgnowaniu wychowawczym potrzebnych do tego oraz pięknych etycznie usposobień – i niechby nikt przy tym nikogo nie pytał, jak on sobie ową literaturę interpretuje egzystencjalnie i jaką moc sprawczą przypisuje elementom owej sztuki pięknej, a w szczególności niechby nikt od uczestników nie wymagał uznawania za prawdę notorycznych fantazmatów. Słysząc, że niektóre sekty protestanckie ku temu właśnie zmierzają. Mówi się coś podobnego o kwakrach, o unitarianach zamorskich... Niestety, u nas, w kręgu działania rzymskiego katolicyzmu, nie zanoszą się na nic podobnego. Religia pozostaje formacją kulturową wsteczną i coraz bardziej anachroniczną. Nie ma miejsca dla ateistów w Kościele rzymskokatolickim. Przykro jest, będąc ateistą, zdawać sobie sprawę z obcości własnej pozycji względem przyzwyczajzeń, upodobań, światopoglądu i stylu życia duchowego przeważającego ogółu członków własnego społeczeństwa. Pocięcha w tym, że religia, której ono hołduje, zawiera w sobie składniki moralne, które w interpretacji najlepszych jej zwolenników prowadzą do tej samej etyki bezinteresownej i gorliwej opiekuńczości, do której musi doprowadzić ateistę namysł nad istotą sumienia.

Chrystusa. Znałem również proboszcza, który napędził wielkiego strachu swoim owieczkom oznajmiając im, że drugie przyjście Chrystusa nastąpi lada dzień; co prawda pocieszyli się spostrzeżeniem, że ich pasterz sadi drzewka w swoim ogrodzie. Pierwsi chrześcijanie wierzyli w to rzeczywiście i powstrzymywali się od czynów podobnych do sadzenia drzewek w ogrodach, ponieważ podzielali wiarę Chrystusa w bliskość drugiego przyjścia. Pod tym względem Chrystus, jak widać, nie dorównywał mądrością niektórym innym ludziom, a już z pewnością nie posiadał najwyższej mądrości.

#### ZAGADNIENIA MORALNE

Zwróćmy się do kwestii moralnych. Według mnie istnieje jedna poważna skaza w charakterze Chrystusa, a mianowicie jego wiara w piekło. Nie mogę uwierzyć, aby człowiek rzeczywiście humanitarny mógł wierzyć w kary wieczne. Chrystus przedstawiony w Ewangeliach niewątpliwie wierzył w wieczne męki i w księgach tych znajdujemy wielokrotnie słowa mściwego gniewu skierowane przeciw ludziom, którzy nie chcieli słuchać jego kazań – postawa dość zwykła u kaznodziejów, ale nie dająca się pogodzić z najwyższą doskonałością.

Nie spotykamy tej postawy u Sokratesa, łagodnego i uprzejmego wobec ludzi, którzy nie chcieli go słuchać. I moim zdaniem takie zachowanie się bardziej przystoi mędrcom niż oburzenie. Przypominacie sobie zapewne wszyscy, co mówił Sokrates w swoich ostatnich chwilach i jak się zazwyczaj zwracał do ludzi, którzy się z nim nie zgadzali.

Według Ewangelii Chrystus mówił: „Wężowie, rodzaju jaszczury, i jakoś będziecie mogli ująć przed sądem ognia piekielnego?” – Był to zwrot pod adresem ludzi, którym się nie podobały jego nauki. Naprawdę, nie wydaje mi się to w najlepszym tonie.

W Ewangelii znajduje się dużo takich wzmianek o piekło. Najpierw, naturalnie, dobrze nam znany tekst odnoszący się do grzechu „przeciwko Duchowi Świętemu”: „Ale kto by mówił przeciwko Duchowi Świętemu, nie będzie mu odpuszczone ani w tym wieku, ani w przyszłym”. Tekst ten stał się przyczyną niezliczonych cierpień, gdyż wszelkiego rodzaju ludzie wyobrażali sobie, iż popełnili grzech przeciw Duchowi Świętemu, i żyli w przekonaniu, że nie otrzymają przebacze-

ką popularnością u niektórych naszych chrześcijańskich przyjaciół. Brzmi ona, jak następuje: „Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj majątności twoje i rozdaj ubogim”. Jest to znakomita maksyma, ale, powtarzam to, rzadko stosowana w praktyce.

Wszystkie te nauki uważam za dobre, choć trochę trudno jest żyć zgodnie z nimi. Nie mógłbym twierdzić, że stosuję się do nich w swoim życiu, ale ostatecznie nie zobowiązywałem się do tego. Dla chrześcijanina jednak sprawa ta przedstawia się inaczej.

#### USTERKI NAUKI CHRYSYUSA

Po uznaniu doskonałości tych maksym przechodzę teraz do pewnych punktów, które, jak sądzę, nie dają nam powodu do przypisywania Chrystusowi odmalowanemu w Ewangeliach najwyższej mądrości lub dobroci. Zaznaczam, że pomijam kwestię historyczności Chrystusa.

Historycznie jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy Chrystus w ogóle kiedyś żył; a jeżeli żył, to i tak brakuje nam o nim wszelkich wiadomości; nie będę się więc zajmował tą bardzo trudną kwestią historyczną. Chodzi mi o Chrystusa przedstawionego w Ewangeliach, których opowiadania przyjmuję tak, jak są podane; otóż znajdują się tam pewne rzeczy, które nie wydają się bardzo mądre.

Na przykład Chrystus był przekonany, że jego drugie przyjście nastąpi w wielkiej chwale jeszcze przed śmiercią żyjących wówczas ludzi. Dowodzi tego wiele tekstów. Między innymi mówi on:

„Nie obejdziecie miast izraelskich, aż przyjdzie Syn człowieczy”. Potem zaś: „Są niektórzy z tych, co tu stoją, którzy nie zakosztują śmierci, aż Syn człowieczy, przyjdzie do królestwa swego”. I jest sporo miejsc, z których jasno wynika, że jego drugie przyjście nastąpi za życia wielu jego współczesnych. Wierzyli w to także jego pierwsi wyznawcy i wiara ta była podstawą wielu nauk moralnych.

Gdy mówił: „Przeżońcie się o jutrzejszy dzień” i inne podobne rzeczy, było to w znacznej mierze dlatego, że uważał swoje drugie przyjście za bardzo bliskie, a wszystkie światowe sprawy nie miały już dla niego znaczenia.

Znałem osobiście chrześcijan, którzy wierzyli w rychłe przyjście

Leopold Infeld

#### Religia i ja

##### I

Moi rodzice byli religijni; żyli na Kazimierzu, peryferiach dzielnicy Krakowa zamieszkałej niemal wyłącznie przez Żydów. W sprawach religii byli rzecznikami łagodnego, powolnego postępu. Linia przepisów rytualnych, których się trzymali, była ściśle zdefiniowana. Dumni byli z postępu, który uzyskali, i z tradycji, którą utrzymali. Jak każda grupa żydowska na Kazimierzu, mieszała oni swój cocktail religijny w swoisty sposób, przekonani, że jest on najsmaczniejszy dla ludzi i Boga; że każde odchylenie na lewo jest przeciwko istotnym regułom religii, a każde odchylenie na prawo jest niecywilizowaną oznaką przesądów religijnych. Życie zmusiło ich do zajęcia takiego stanowiska i do jego obrony. Jeżeli żydowską religię brać dosłownie, to grzechem jest oddychanie bez równoczesnej kontemplacji wielkości jedyne Boga. Człowiek, który musi zarobić na chleb powszedni, zmuszony jest zrezygnować z wykonania pewnych porcji przepisów religijnych i postara się znaleźć usprawiedliwienie dla swych ominięć. Tak postąpili moi rodzice. Moja mama była pierwsza w swej rodzinie, która nie obcięła włosów wychodząc za męża i odmówiła włożenia peruki, którą nosiły wszystkie prawdziwie nabożne mężatki. Mój ojciec był pierwszym w swej rodzinie, który nosił strój europejski, a nie jedwabny chałat i czapkę z trzynastoma ogonkami noszoną przez nabożnych Żydów w sobotę. To były granice, do których posunęli się moi rodzice. Ale w tych granicach strzegli surowo przepisów nałożonych przez religię i przez samych siebie.

Urodziłem się u schyłku wieku dziewiętnastego. W atmosferze religii upłynęła mi młodość, która rzeźbiła lata późniejsze. Religia wkroczyła w moje życie trzema silnymi nurtami: nurtem szkoły żydowskiej – chederu; nurtem bóżnicy; nurtem domu.

## NURT CHEDERU

Gdy miałem pięć lat, posłano mnie do chederu. Klasa była mała, ławki wąskie, twarde i boleśnie niewygodne. Siedzieliśmy tak blisko siebie, że nie można było ruszać ramionami; w śpiewnym chórze powtarzaliśmy litery alfabetu hebrajskiego. Potem kombinacje zgłosek z samogłoskami. Powtarzaliśmy, powtarzaliśmy, powtarzaliśmy mechanicznie, dopóki litery w książce nie wywołały właściwej nerwowej reakcji i dopóki właściwe dźwięki nie wydobywały się z naszych dziecińczych ust.

Okna były szczelnie zamknięte. Będą one zamknięte przez całą zimę, aby zaoszczędzić na opale. Powietrze było ciężkie i śmierdzące. Zapach potu mieszał się z zapachem cebuli i kartofli gotowanych w sąsiedniej kuchni. Nasz nauczyciel miał różgę w ręku i ubrany był w długi, brudny i podarty jedwabny chałat, noszony przez religijnych Żydów Krakowa. Każdy z nas, chłopców, ma lat pięć. Nauczyciel słucha naszego śpiewnego chóru. Jego wyćwiczone ucho chwytą głos, który brzmi fałszywie. Powoli, z podniesioną trzcinką podchodzi do miejsca, z którego mnie może dosięgnąć! Boję się i staram się śpiewać głośno i dobrze. Jestem ocalony. Trzcina uderza w mojego sąsiada. Chór pod batutą nauczyciela powtarza głośniejsz i lepiej nasz monotony śpiew. Uderzony chłopiec ociera łzy brudnymi palcami, a nauczyciel szuka nowej ofiary.

W południe, gdy lekcje się skończyły, nauczyciel i jego pomocnik zabierają nas grupami i odprowadzają do naszych domów. Po obiedzie zabierają nas znowu do chederu. Każdego ranka i każdego popołudnia oddychamy tym samym zgniłym powietrzem, powtarzamy i powtarzamy, dopóki nie nauczymy się czytać słów, których nie rozumiemy, słów w świętym języku, w którym Pan Bóg rozmawia z aniołami. Czytamy słowa, których nie rozumiemy; czytamy je powoli, zająkując i myląc się; potem tych omyłek jest mniej i wreszcie czytamy płynnie. Pierwszy etap naszej edukacji jest poza nami.

Gdy miałem lat sześć, posłali mnie rodzice do szkoły publicznej. Umiałem już czytać po hebrajsku. Rodzice moi uczynili to samo, co wszyscy rodzice na Kazimierzu. Posłali mnie do polskiej publicznej szkoły, do której chodziłem przed południem, a do chederu po połu-

chodzi mi o kwestię, czy Chrystus był najlepszym i najmądrzejszym z ludzi. Uważa się powszechnie, że powinniśmy wszyscy na to się zgodzić. Co do mnie, to jestem przeciwnego zdania. W wielu punktach zgadzam się z Chrystusem daleko lepiej niż jego wyznawcy. Nie wiem, czy mógłbym iść z nim aż do końca drogi, ale w każdym razie mógłbym mu towarzyszyć znacznie dalej niż większość nominalnych chrześcijan.

Pamiętacie zapewne, że Chrystus mówił: „Nie sprzeciwiajcie się złu, ale kto by cię uderzył w prawy policzek twój, nadstaw mu i drugi”. Nie jest to nowe przykazanie ani nowa zasada. Lao Tse i Budda głosili to na jakieś 500 lub 600 lat przed Chrystusem, ale faktycznie biorąc, chrześcijanie nie przyjęli tej zasady.

Nie mam zamiaru podawać w wątpliwość chrześcijańskich uczuć na przykład naszego premiera, ale nie radziłbym nikomu z was pójść do niego i uderzyć go w policzek. Myślę, że skonstatowalibyście wtedy, że według jego mniemania tekst ten powinno się brać w przenośnym znaczeniu.

Jedną jeszcze naukę uważam za doskonałą. Przypominacie sobie zapewne słowa Chrystusa: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”. Wydaje mi się, że trudno by wam było znaleźć w chrześcijańskich krajach sądy, w których ta zasada byłaby mile widziana. Znałem bardzo wielu sędziów, którzy byli bardzo gorliwymi chrześcijanami, a jednak żaden z nich nie odczuwał sprzeczności między zasadami chrześcijańskimi a swoją działalnością.

Dalej Chrystus mówi: „Temu, co cię prosi, daj, a od tego, co chce u ciebie pożyczyć, nie odwracaj się”. Jest to bardzo dobra zasada. Wasz przewodniczący przypominał wam, że nie zebraliśmy się tutaj, aby mówić o polityce, ale nie mogę się powstrzymać od uwagi, że ostatnie wybory rozgrywały się na platformie zagadnienia, w jakim stopniu byłoby pożądane odwrócić się od tego, kto chce coś pożyczyć, tak że musimy przypuścić, iż angielskie stronnictwa, zarówno liberalne, jak i konserwatywne, składają się z ludzi nie uznających nauki Chrystusa, ponieważ niewątpliwie odwrócili się oni z całą stanowczością od chcących pożyczać.

Następnie jest jeszcze jedna maksyma Chrystusa, która moim zdaniem zasługuje na uwagę, chociaż nie widzę, aby się cieszyła wiel-

trudno orzec, która z tych ewentualności sprawia nam większą przykrość; lecz jeśli chcecie mieć sprawiedliwość we wszechświecie jako całości, musicie przypuścić, że jest przyszłe życie, które zrównoważyłoby szalę ziemskiego istnienia, a więc w konsekwencji należy przyjąć Boga, niebo i piekło, aby sprawiedliwość mogła w końcu zatriumfować.

Argument ten jest bardzo dziwny. Gdybyście rozpatrywali tę sprawę z naukowego punktu widzenia, powiedzielibyście: „Ostatecznie znam tylko ten świat. Nie wiem nic o reszcie wszechświata. Ale jeżeli w ogóle można rozprawiać o możliwościach, uważałbym za prawdopodobne, że ten świat jest próbką typową i że jeśli tutaj panuje niesprawiedliwość, to są szanse spotkania jej również gdzie indziej”.

Przypuśćmy, że dostaliście skrzynię pomarańcz i przekonaliście się po jej otwarciu, że wszystkie owoce z wierzchu są zepsute. W podobnym wypadku nie dowodzi się, że dolne pomarańcze muszą być dobre tytułem odszkodowania, lecz mówi się: zapewne cała partia towaru jest zepsuta. – Człowiek obdarzony naukowym umysłem wyrobiłby sobie takie właśnie przekonanie o wszechświecie. Powiedziałby on: „Świat ten jest pełen niesprawiedliwości; pozwala to nam przypuszczać, że próżno byłoby szukać sprawiedliwości we wszechświecie, i dostarcza moralnego dowodu przeciw istnieniu bóstwa, a nie na jego korzyść”.

Oczywiście wiem, że intelektualne argumenty, o których była dotąd mowa, nie należą do czynników rzeczywiście oddziałujących na ludzi. To, co skłania ludzi do wiary w Boga, nie ma nic wspólnego z intelektem. Większość wierzy w Boga, ponieważ uczono ich tego od niemowlęctwa; jest to głównym powodem ich wiary.

Sądzę, że następnym co do siły motywem jest chęć zabezpieczenia się, wywołująca rodzaj poczucia, że jest gdzieś jakby starszy brat, który się wami zaopiekuje. Odgrywa to bardzo ważną rolę w budzeniu uczuć religijnych.

#### CHARAKTER CHRYSYUSA

Chcę teraz powiedzieć parę słów na temat, który moim zdaniem został zbyt pobieżnie potraktowany przez racjonalistów, a mianowicie

dniu.

Szkoła żydowska, do której mnie teraz posłano, była szkołą wyższą, gdyż tam już studiowano Biblię. Ojciec przedstawił mnie mojemu nowemu nauczycielowi, który miał ostrą twarz, długą siwą brodę i wysunięty brzuch. W rękę trzymał krótką trzcinę. Popatrzył na mnie surowo, potem otworzył książkę hebrajską i kazał mi czytać. Zadowolony z wyniku tego egzaminu, zaprowadził mnie do swego pomocnika, od którego miałem otrzymać parę indywidualnych lekcji, zanim stanę się członkiem klasy. To było regułą. Pomocnik był młody, miał małą czarną bródkę i twarz ze śladami ospy. Położył zmiętą książkę Biblii na stole, otworzył ją na stronicy zestrzępionej brudem, położył drewniany wskaźnik z ostrym końcem nad pewnym hebrajskim słowem i zakomenderował: „Czytaj to”. Powoli przeczytałem to słowo. „Powtórz”. Powtórzyłem. „Powtórz”. Powtórzyłem. I tak pięć razy. Potem powiedział słowo żydowsko-niemieckie z tym samym rozkazem: „Powtórz”. Posłusznie powtórzyłem. Po pięciokrotnych powtórzeniach umiałem obydwie słowa na pamięć nie rozumiejąc żadnego z nich. Zrozumiałem jednak, o co chodzi. Nie rozumiałem żadnego z tych słów, ale wiedziałem, że połączone są magiczną zasadą ekwiwalencji, że, mówiąc prościej, jedno jest tłumaczeniem drugiego. Drewniany wskaźnik przeskoczył do następnego słowa. Zrozumiałem, na czym polega metoda. Po kilku powtórzeniach owego nowego słowa po hebrajsku, niemiecko-żydowskie słowo rzucone będzie we mnie. Muszę je szybko jak piłkę złapać i powtórzyć je znowu pięciokrotnie. Wskaźnik drewniany posuwał się z wolna słowo po słowie, linia po linii. W drugiej ręce pomocnik nauczyciela trzymał trzcinę. Ale widział z przebiegu lekcji, że trzcina będzie mu niepotrzebna. Położył ją więc ostrożnie na stole i uwolniwszy jedną rękę zaczął dłubać w nosie, powoli, dokładnie i z godnością.

Po kilku takich lekcjach przyłączony zostałem do klasy prowadzonej przez siwego brodacza, by w chórze odśpiewywać tygodniowe porcje Tory-Pięcioksięgu. Godzinami siedzieliśmy w małym, brudnym pokoiku, po dwóch lub trzech ściśnionych, wpatrzonych w jedną Biblię i powtarzaliśmy chóralnie słowa z jego niemiecko-żydowskim tłumaczeniem, słowa i ich tłumaczenie. Każdej niedzieli rozpoczynaliśmy nowy rozdział. Szedł ciężko i wydawał się trudny. Ale powtarzaliśmy te

same słowa w poniedziałki, wtorki... i z każdym dniem szło nam łatwiej, aż w piątek po obiedzie mogliśmy recytować cały rozdział zgranym chórem.

Następnego tygodnia – następny rozdział. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu spędzałem popołudnia w żydowskiej szkole, znużony beznadziejnie, w oceanie potwornej nudy. Oczy moje zwracały się stale w kierunku zegara, najpowolniejszego zegara na całym świecie.

### NURT BÓŻNICY

Bóżnica, do której wspólnie z ojcem chodziliśmy w sobotę, była w wąskiej, biednej, brudnej uliczce Św. Józefa na Kazimierzu. Był to pokój w olbrzymim domu pełnym lokatorów. W domu tym z olbrzymim podwórzem lokatorzy stanowili ciekawy przekrój uboższej ludności dzielnicy Kazimierza. Dom był stary, ze złą kanalizacją, źle utrzymany, z powietrzem cuchnącym śmieciem i moczem.

Z moim ojcem przeszedłem owo wielkie podwórze. Potem szliśmy w lewo do wąskiego przedpokoju z kranem, z którego kapłała woda pojedynczymi kroplami. Stamtąd wchodziliśmy do pokoju, w którym powietrze było gęste od zapachu futrzanych jarmulek. W pokoju były ławki, które wydawały mi się bardzo wysokie, i szafa ozdobiona haftowaną ręcznie kurtyną, którą przykrywane były rolki Tory ręcznie pisanej.

Ojca mego witano zawsze z wielkim szacunkiem. Był on jednym z ośmiu członków komitetu, który administrował synagogą. Miał honorowe miejsce w pierwszej ławce. Ciepło, z którym witano ojca, przenoszono i na mnie. Witano się ze mną życzliwie i częstowano mnie tabaką. Mój ojciec, tak jak inni, nakładał na ramiona jedwabny szal ozdobiony napisami hebrajskimi, z którego to szala zwisały żółte sznurki. Najpierw całował ten szal wedle przepisów, szczególnie owe żółte sznurki, a potem rozpoczynał modlitwę.

Modlitwa miała swego przewodniczącego. Wyśpiewywał on pierwsze słowa każdego rozdziału, a kongregacja była jego chórem. On to wybierał melodie, nadawał modlitwie właściwą wagę i tempo. W rytuale możliwe były różne wariacje. Nie myśląc i nie znając znaczenia słów hebrajskiej modlitwy, byliśmy wszyscy aktorami przedstawienia,

Podobnie jak wiele ludzi był on sceptykiem w dziedzinie intelektu, lecz gdy chodziło o moralność – wierzył ślepo w zasady, które mu wpojono w dzieciństwie. Jest to ilustracja do często podkreślanego przez psychoanalityków zjawiska, że nasze najwcześniejsze skojarzenia myślowe wywierają na nas daleko silniejszy wpływ niż wyobrażenia późniejsze. Jak mówiłem, Kant wynalazł nowy argument moralny na korzyść istnienia Boga.

Różne formy tego argumentu cieszyły się wielką popularnością w ciągu XIX wieku. Jedną z nich polega na twierdzeniu, że gdyby Bóg nie istniał, nie byłoby pojęcia dobra i zła. Nie będę w tej chwili rozważał, czy dobro da się odróżnić od zła, jest to inna sprawa.

Obchodzi mnie tylko następujący punkt. Jeżeli jesteście zupełnie pewni, że istnieje różnica między dobrem a złem, to nasuwa się pytanie: czy ta różnica powstała z rozkazu Boga? – Jeżeli zawdzięczamy ją Bogu, to dla samego Boga nie ma różnicy między dobrem i złem i twierdzenie, że Bóg jest dobry, traci wszelki sens.

Jeśli powiecie za przykładem teologów, że Bóg jest dobry, trzeba będzie uznać, że dobro i zło mają znaczenie niezależnie od woli Boga, gdyż postanowienia Boga są dobre, a nie złe, bez względu na sam fakt, że zostały przez niego wydane. Jeśli zaś to przyjmiecie, będziecie musieli wtedy powiedzieć, że dobro i zło nie istnieją li tylko dzięki Bogu, ale że z natury rzeczy logicznie poprzedzają Boga.

Rozumie się, że gdybyście mieli ochotę, moglibyście powiedzieć, że było wyższe bóstwo, które dawało rozkazy Stwórcy naszego świata; lub też wolno by wam było podzielić zapatrywanie niektórych gnostyków – zapatrywanie, które często uważałem za wysoce prawdopodobne – że w rzeczywistości świat został stworzony przez diabła, który skorzystał z chwili nieuwagi Boga. Można dużo powiedzieć na korzyść tej hipotezy i nie będę się zajmował jej zbijaniem.

### ARGUMENT WYRÓWNANIA NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Istnieje jeszcze inna, bardzo ciekawa forma argumentu moralnego, według której istnienie Boga jest konieczne do zaprowadzenia sprawiedliwości na świecie. W znanej nam części wszechświata panuje wielka niesprawiedliwość, dobrzy często cierpią, a złym się powodzi, i

musiał mieć jakiś cel”. Nie, wspaniałość tych ludzi wcale mnie nie olśniewa. Dlatego uważam, że argument celowości jest bardzo marny.

Prócz tego, jeśli uznajemy zwykle prawa naukowe, musimy przypuścić, że życie w ogóle, a życie ludzkie w szczególności, wygaśnie w pewnej chwili na naszej planecie; jest ono tylko nieudaną próbą; jest to jedna z faz rozpadu systemu słonecznego. W pewnym stadium tego rozpadu temperatura oraz inne warunki sprzyjają powstaniu protoplazmy i na krótki okres w istnieniu całego systemu słonecznego pojawia się życie. Patrząc na Księżyc widzimy stan, do którego zdąża Ziemia – coś martwego, zimnego, bez życia.

Mówią mi, że ta perspektywa jest przygnębiająca, i ludzie nieraz wam powiedzą, że gdyby temu wierzyli, nie mogliby żyć dłużej. Nie wiercie im na słowo; wszystko to jest absurdem.

Nikt nie przejmuje się na serio tym, co nastąpi po milionach lat. Nawet jeśli ludzie ci myślą, że są bardzo strapieni, w rzeczywistości oszukują samych siebie. Dręczą ich bardziej światowe rzeczy lub może po prostu chorują na żołądek; ale nikogo naprawdę nie unieszczęśliwi myśl o czymś, co się ma przydarzyć światu za miliony milionów lat.

Dlatego, chociaż przypuszczenie, że życie wygaśnie pewnego dnia, nie usposabia, rzecz prosta, do wesołości – przynajmniej wydaje mi się, że możemy tak powiedzieć, jakkolwiek czasem, gdy przyglądam się użytkowi, jaki ludzie robią ze swych istnień, myślę, że jest ono niemal pociechą – jednak proroctwo tego rodzaju nie może nikomu obrzydzić życia. Jedynym jego skutkiem jest zwrócenie naszej uwagi ku innym rzeczom.

#### MORALNE ARGUMENTY NA KORZYŚĆ BÓSTWA

Teraz przechodzimy do dalszego stadium tego, co nazwę obniżeniem się intelektualnej wartości dowodzeń teistów, i docieramy do tak zwanych moralnych argumentów przemawiających za istnieniem Boga. Wiadomo, że w dawnych czasach wysuwano na korzyść istnienia Boga trzy intelektualne argumenty, które zostały obalone przez Immanuel Kanta w jego *Krytyce czystego rozumu*; lecz zaledwie Kant rozprawił się z tymi argumentami, a już wynalazł nowy argument, tym razem moralny, i to go przekonało w zupełności.

którego próby odbywały się co sobotę. Przez kilka minut siedzieliśmy cicho z otwartą Biblią przed nami, mrucząc pod nosem. Potem wstaliśmy wszyscy wrzeszcząc tak głośno, jak tylko można było. Szczególnie zdanie: „Słuchaj, o Izraelu! Twój Bóg jest jedyny”, wzbudzało olbrzymi entuzjazm. Niektórzy z obecnych wznosili przy tym okrzyku obydwie pięści w górę, aby przekonać Boga, że my jesteśmy jego walczącą armią. Ponieważ akcent zdania był na słowie „jedyny”, właściwą rzeczą było przedłużyć wymawianie tego słowa, wypowiadając je bardzo głośno i bardzo powoli, i zakończyć westchnieniem, w którym zawarty był smutek życia żydowskiego. Potem znowu nastąpiła zmiana. Każdy owe szale z bioder zarzucał na głowę, wstawał, szeptał swe modlitwy bardzo cicho, kiwając się w przód i w tył, mocno wzdychając. Gdy osiągnął pewne miejsce w modlitwie, właściwą rzeczą było zrobić trzy kroki wstecz, potem trzy kroki naprzód, potem uderzyć się pięścią w piersi, potem skłonić się głęboko, potem całować owe zwisające z szala sznurki. Gdy owa cicha część modlitwy się skończyła, kantor zaczynał śpiew i cała kongregacja przyłączała się w dobrze zdefiniowanym przez sztywne reguły chórze.

Z początku rytuał ten wydawał mi się interesujący. Staralem się robić dokładnie to samo, co wszyscy, i z początku rolę swą grałem niezręcznie. Po upływie tygodni wyuczyłem się do najdrobniejszych szczegółów tego przedstawienia i cała procedura wydawała mi się coraz bardziej nudna.

Modlitwa była przerywana czytaniem odpowiedniego rozdziału Tory, tego samego rozdziału, który był przedmiotem naszych tygodniowych studiów. Dziwna ironia polegała na tradycji, która wszystko obracała w nonsens. Bowiem dzieciom podczas czytania tego rozdziału Tory – tego samego rozdziału, do którego słuchania przygotowywano nas przez długi tydzień męczarni – pozwalano opuszczać bóżnicę. Oczywiście korzystaliśmy z tego przywileju biegając i bawiąc się na podwórzu, obserwując intensywne życie tego domu, lub siusiając w malutkiej ubikacji z dziurą w podłodze; z powodu smrodu stęchłego moczu trzeba było wstrzymywać oddech, co temu procesowi nadawało wagi i znaczenia.

Nabożeństwo sobotnie trwało około trzech godzin, po czym mój ojciec składał pedantycznie swój szal modlitewny, wkładał modlitew-

nik do środka, szybko usuwał lekką kapę z głowy i wkładał na nią cylinder – tak szybko, aby grzech stania przed Bogiem z gołą głową uczynić nieskończenie małym.

Powoli, wspólnie z innymi uczestnikami modlitwy, szliśmy do domu, przystając co kilka kroków, rozmawiając, gestykulując żywo, wzdłuż ulicy Św. Józefa, potem zakręcając na Krakowską, gdzie był nasz dom. Ulice też odpoczywały i przeżywały swój sabat. Wszystkie sklepy były zamknięte. Mężczyźni i kobiety inaczej chodzili po bruku ulicy w sobotę: powoli i z godnością. Mężczyźni nosili swoje futra i dziwne czapki z trzynastoma ogonkami. Tylko nieliczni (jak mój ojciec), bardziej postępowi, nosili cylindry. Kobiety i dzieci były ubrane starannie i wyglądały inaczej aniżeli w dzień powszedni. Cały Kazimierz odbijał światło boskiej glorii. Ale nawet sobota po południu nie była wolna od zajęć. Musiałem – jak inne dzieci – pójść do mojej szkoły na 2 godziny. Nie po to, aby studiować Biblię: na to były zarezerwowane inne dni tygodnia. Naukę w sobotnie popołudnie traktowano lekko. Boski duch pokoju dotarł i do naszej szkoły na ulicy Bożego Ciała. Nasz nauczyciel nie nosił trzcinki, bo religia zabrania tego, bo bicie w sobotę byłoby czymś zupełnie nie na miejscu. Celem sesji sobotniej było czytanie i tłumaczenie w zwykły sposób – słowo po słowie – wszelkich przysłów i sentencji naszych ojców w rodzaju: „Mądrzy ludzie gromadzą wiedzę”, „Myśli prawych są prawe, ale rady złych ludzi są oszustwem”.

Czasami nagle wyskoczyło zdanie, którego celem było zabicie buntu przeciwko silnej ręce naszych ojców: „Gdy bijesz swe dziecko trzcina, ono nie umrze. Będziesz go bił trzcina, a ocalisz jego duszę przed piekłem”.

Raz pewien, w spokojne sobotnie popołudnie przypomniano nam, że nie potrafimy przełamać muru utworzonego wokół naszych dusz. Jesteśmy wewnątrz tych murów, musimy pozostać wewnątrz nich do ostatnich dni naszego życia.

## II

Formalności związane z ranną modlitwą wzrosły w sposób męczący dla mnie, tak jak wzrastają dla każdego żydowskiego chłopca,

najwyższym prawodawcą. Krótko mówiąc, argument prawa natury nie ma już tej siły, którą posiadał.

Rozpatrując te wywody odbywam podróż w czasie, ponieważ argumenty, za pomocą których dowodzone istnienia Boga, zmieniają swój charakter z biegiem czasu. Z początku były to ściśle, intelektualne argumenty, ucieleśniające pewne określone sofizmaty. W miarę zbliżania się do czasów nowożytnych poziom intelektualny tych argumentów spada i nabierają one coraz więcej moralizującej mglistości.

## ARGUMENT CELOWOŚCI

Następnym argumentem jest argument celowości. Jest on dobrze znany: wszystko na świecie jest urządzone tak, żebyśmy mogli żyć na nim; gdyby świat był choć trochę odmienny, nie potrafilibyśmy tego czynić. Tak brzmi ten argument.

Przybiera on czasem osobliwe formy; utrzymuje się na przykład, że króliki mają białe ogony, aby łatwiej było do nich strzelać. Nie wiem, co o tym myślą króliki. Argument celowości łatwo jest sparodiować. Wszyscy znamy uwagę Woltera, że najwidoczniej nos został ukształtowany tak, aby pasował do okularów. Ten rodzaj parodii okazał się bardziej uzasadniony, niż to się mogło wydawać w XVIII wieku, ponieważ od czasów Darwina rozumiemy znacznie lepiej, dlaczego żyjące istoty są przystosowane do swego otoczenia.

Nie środowisko zostało stworzone dla ich rozwoju, ale one same rozwinęły się odpowiednio do warunków, i to jest podstawą przystosowania się. Nie ma w tym żadnego dowodu celowości.

Gdy przyjrzymy się bliżej argumentowi celowości, to wyda się nam rzeczą zdumiewającą, że ludzie mogą wierzyć, iż ten świat ze wszystkim, co zawiera, ze wszystkimi swoimi brakami jest najlepszy, na jaki wszechpotęga i wszechwiedza w ciągu milionów lat mogły się zdobyć. Doprawdy, nie mogę w to uwierzyć. Czy sądzicie, że gdybyście byli wszechpotężni i wszechwiedzący, a nadto mieli miliony lat do udoskonalenia waszego świata, to nie moglibyście wytworzyć nic lepszego od Ku-Klux-Klanu, faszystów i pana Churchilla?

Doprawdy, nie imponują mi zbytnio ludzie, którzy oświadczają: „Spójrzcie na mnie! Jestem tak wspaniałym tworem, że wszechświat

których się dochodzi, są to przeciętne statystyczne, ściśle tego rodzaju, jakie mógłby dać prosty przypadek.

Wszyscy wiemy, że istnieje prawo, według którego podczas gry w kości otrzymuje się podwójną szóstkę tylko raz mniej więcej na trzydzieści sześć rzutów, a jednak nie uważamy tego za dowód, że rzuty kości są regulowane z góry powziętym zamiarem. Przeciwnie, gdyby podwójna szóstka wychodziła raz po raz, sądzilibyśmy, że to było zrobione umyślnie. Wiele praw natury zalicza się do tej kategorii. Są to przeciętne statystyczne, podobne do tych, jakie zjawiałyby się na podstawie prawa przypadku; i dzięki temu cała historia z prawem natury wywiera obecnie znacznie mniejsze wrażenie niż dawniej.

Zupełnie niezależnie od tego, co powiedziałem, a co odnosi się do chwilowego stanu nauki, który jutro może się zmienić, samo wyobrażenie, że istnienie praw natury pociąga za sobą istnienie prawodawcy, wynika z pomieszania praw natury z prawami ludzkimi.

Ludzkie prawa są to nakazy polecające osobnikowi żyjącemu w społeczeństwie zachowywać się w pewien określony sposób, przy czym może on zgodzić się na to lub też postąpić inaczej. Natomiast prawa natury są opisem faktycznego zachowania się rzeczy, a ponieważ po prostu opisują, co rzeczy istotnie czynią, więc nie można dowodzić, że musi być ktoś, kto kazał im to zrobić.

A przypuściwszy nawet, że tak było, stajemy przed pytaniem: Dlaczego Bóg wydał właśnie te, a nie inne prawa natury? Jeśli się odpowiada, że uczynił to wedle swego upodobania i bez żadnego powodu, to zakłada się, że jest coś nie podlegającego prawu, i w ten sposób działanie prawa natury zostaje przerwane. Gdyby zaś odpowiedziano wam za przykładem bardziej ortodoksyjnych teologów, że ogłaszając wszystkie swoje prawa Bóg zawsze miał powód, aby dać raczej prawa te, a nie inne – i że powodem tym była oczywiście chęć stworzenia możliwie najlepszego wszechświata, choć przyglądając się temu ostatniemu nigdy byście nie wpadli na to przypuszczenie – jeśli zatem był powód do praw, które Bóg nadał, to i sam Bóg podlegał prawu. I dlatego wprowadzenie Boga jako pośrednika w tej sprawie nie przynosi żadnej korzyści.

Znajdujecie się wobec prawa poprzedzającego boskie edykty i stojące poza nimi, a Bóg nie doprowadza was do celu, gdyż nie jest

kiedy przekroczy on wiek lat trzynastu. Polegały one na tym, że dwa sześciany skórzane kładło się jeden na głowę, a drugi na lewą rękę. Sześciany te zawierały w środku hebrajskie święte napisy, które powinno się trzymać przez pół godziny blisko mózgu i serca, tak aby ich treść stopniowo przedyfundowała do mózgu i serca poprzez schowek skórzany i poprzez moją skórę. Owe sześciany były przywiązane do mojej głowy i do mego ramienia skózanymi rzemieniami. Pewnego razu byłem chory. A więc w oczach Boga i ojca mego byłem usprawiedliwiony przed złożeniem owych sześcianów na głowę i ramię. Ale w oczach Boga i ojca nie byłem dostatecznie chory, aby nie odmówić modlitw z modlitewnika. Wstałem z łóżka z bólem głowy, wziąłem modlitewnik i zacząłem mechanicznie recytować modlitwę. Ale ta procedura, do której byłem tak przyzwyczajony już, nagle wydała mi się idiotycznie bezsensowna. Czy jest możliwe, zapytałem, że Bóg słucha mej modlitwy? Jako dziecko wyobrażałem sobie Pana Boga jako olbrzymiego Żyda z dużą srebrną brodą, który patrzy na wszystko zza chmur. Ale gdy ten naiwny i dziecięcy obraz zniknął, nic nie zajęło jego miejsca. Modlitwy stawały się wypełnianą powinnością. W tej chwili, kiedy byłem chory, była to ciężka powinność. Byłem bardziej świadomy aniżeli zawsze, jak głupi i bezsensowny jest ów rytuał. Zamknąłem modlitewnik. Po raz pierwszy w życiu nie modliłem się. To był początek. Podczas następnych kilku miesięcy, krok za krokiem, popełniałem wszystkie możliwe grzechy przeciwko rytuałowi. Przestałem się modlić; pisałem w sobotę; popełniłem największy grzech: w sądny dzień postu jadłem trefną kiełbasę w restauracji. Jak tylko mogłem, kłamałem w domu, udając, że nic się u mnie nie zmieniło. Ale katastrofa musiała przyjść. Oszustwo moje musiało być – prędzej czy później – odkryte.

Stało się to podczas świąt Bożego Narodzenia, gdy nie chodziłem do szkoły. Mój ojciec, jak zwykle, wstał wcześniej, aby pójść do synagogi na swe ranne modlitwy. Ale nie czuł się dobrze i postanowił odmówić modlitwy w domu. Zamierzał użyć moich sześcianów, ponieważ jego były w synagodze. Dzisiaj mogę zrozumieć jego uczucia. Wziął worek, w którym one leżały. Kurz na worku i wewnątrz był dowodem, że sześciany te nie były ruszane od miesięcy! Warstwa kurzu na tak świętej rzeczy! Wiele lat ciężko pracował ojciec nad tym, aby w syna

wszczepić tradycje żydowskie. A teraz jego syn, krew z jego krwi, kość z jego kości, oszukuje go i nie modli się. Zerwał łańcuch tradycji wiążący go z narodem żydowskim! Czerwony ze zdenerwowania, nieświadomy tego, co robi, podbiegł do mego łóżka i zaczął mnie bić pięściami.

To bicie wyrwało mnie z głębokiego snu. Uczułem grad szybkich, bolesnych uderzeń. Minęła długa chwila, nim zrozumiałem, że źródłem bicia są ręce mego ojca, które szybko i regularnie uderzają o moje ciało. Przejście od snu do pełnej świadomości było powolne. Pojąłem wreszcie, że to nie sen, a rzeczywistość, że cięgi, które otrzymuję, są najprawdziwsze w świecie. Ze zdenerwowanego belkotu ojca odgadłem, chociaż byłem na wpół przytomny, całą historię. Ojciec poznał się na mym oszustwie.

Gdy oprzytomniałem i gdy bicie się skończyło, miałem jedną reakcję tylko: nienawiść, nienawiść, nienawiść. Oddałbym ojcu tym samym, gdyby nie to, że od dzieciństwa uczono mnie, iż ręka podniesiona na ojca usycha i odpada. Pokój, w którym większa część mej rodziny spała, był źródłem wszelkich różnic potencjałów skierowanych przeciwko mnie. Był mój obrzydliwy dziadek, pełen nienawiści do mnie. Po raz pierwszy zauważyłem uśmiech zadowolenia na jego brodatej twarzy. Mama była bezradna. Radziła mi: „Usprawiedliw się przed tatusiem i powiedz, że się to już nigdy nie zdarzy”.

Moja starsza siostra dolewała oliwy do ognia, twierdząc, że dawno podejrzewała moje oszustwo. Moja ukochana młodsza siostra miała nieszczęśliwy wyraz twarzy.

Nienawiść, nienawiść, nienawiść przeciwko wszystkim i całemu memu otoczeniu. Chciałem uciec i zostawić całe to życie za sobą. Powoli nienawiść i chęć odwetu zmieniły się w uczucie wyższości.

Myślałem: „Nie, oni nie są godni, aby im odpowiedzieć. Moją jedyną reakcją będzie ignorowanie ich; ucieknę z tego domu bez słowa i nigdy do niego nie wrócę”.

Ojciec nie widząc żadnej reakcji z mojej strony odczuł, że posunął się zbyt daleko. Zły i zdenerwowany, oczekiwał jakiegoś gestu, który oczyściłby i uspokoił atmosferę. Moja mama powtarzała to samo zdanie w kółko, że powinienem przeprosić ojca. Ale powiedziałem sobie: „Nie rozumieją mnie i nie rozumieją mnie nigdy. Byłem obcy w

temat rozmowy?”

Argument pierwszej przyczyny nie jest w gruncie rzeczy niczym lepszym. Nie ma powodu, dla którego świat nie mógłby zacząć istnieć bez przyczyny; ani też z drugiej strony nie ma żadnej racji, dlaczego by nie miał istnieć zawsze. Nie ma powodu do przypuszczenia, że świat w ogóle miał początek. Myśl, że rzeczy muszą mieć początek, zawdzięczamy w rzeczywistości ubóstwu naszej wyobraźni. Dlatego wydaje mi się, że nie potrzebuję tracić więcej czasu na zbijanie argumentu pierwszej przyczyny.

#### ARGUMENT PRAWA NATURY

Następnie mamy bardzo rozpowszechniony argument wychodzący z założenia prawa natury. Był to jeden z ulubionych argumentów XVIII wieku, do czego szczególnie przyczynił się wpływ Izaaka Newtona i jego kosmogonii.

Obserwując planety, które krążyły dokoła Słońca zgodnie z prawem ciążenia, ludzie doszli do wniosku, że Bóg wydał tym planetom rozkaz poruszania się właśnie w ten sposób i że to było przyczyną ich ruchu. Było to oczywiście wygodne i proste wyjaśnienie, które oszczędziło im trudu dalszego poszukiwania zasady prawa ciążenia.

W naszych czasach tłumaczymy to prawo w dość skomplikowany sposób podany przez Einsteina. Nie mam zamiaru wygłaszać prelekcji o prawie ciążenia w interpretacji Einsteina, ponieważ to również zabrałoby trochę czasu; w każdym razie nie ma już mowy o tym rodzaju „praw natury”, jaki mieliśmy w systemie Newtona, gdzie dla jakiegoś niezrozumiałego powodu natura zachowywała się wszędzie jednakowo. Odkrywamy teraz, że wiele rzeczy, które uważaliśmy za prawa natury, to w rzeczywistości umowy między ludźmi. Wiadomo, że nawet w najdalszych przestrzeniach międzyplanetarnych metr ma jeszcze dziesięć decymetrów. Bez wątpienia fakt ten jest bardzo ciekawy, ale trudno by go nazwać prawem natury. Wiele rzeczy, które uchodziły za „prawa natury”, jest tego samego pochodzenia.

Z drugiej strony, w wypadkach gdy udaje nam się czegoś dowiedzieć o sposobie zachowania się atomów, spostrzegamy, że podlegają one prawu w znacznie mniejszym stopniu, niż sądzono, i że prawa, do

li zwyczaju mówienia, że naturalnie przyjmują istnienie Boga jako prawdę objawioną, ale istnieją takie a takie argumenty, które sam rozum może wysunąć przeciwko tej idei.

Argumenty te zostały wyłożone bardzo szczegółowo i Kościół katolicki uczuł się zniewolony położyć temu koniec. Ustanowił więc zasadę, że można dowieść istnienia Boga za pomocą czystego rozumu, i znalazł się w konieczności przedstawienia tego, co uważał za materiał dowodowy. Argumentów była pokaźna liczba, ale rozpatrzę tylko kilka spośród nich.

#### ARGUMENT PIERWSZEJ PRZYCZYNY

Argument pierwszej przyczyny jest może najprostszy i najłatwiejszy do zrozumienia. Kościół utrzymuje, że wszystko, co widzimy na tym świecie, ma jakąś przyczynę, i że posuwając się coraz dalej wzdłuż tego łańcucha przyczyn musimy dojść do pierwszej przyczyny, która otrzymuje nazwę „Boga”.

Skłonny jestem przypuszczać, że ten argument nie ma dzisiaj wielkiej wagi, przede wszystkim dlatego, że pojęcie przyczyny nie jest już tym, czym było dawniej. Filozofowie i uczeni pogłębili to pojęcie, które w następstwie zatraciło swą dawną żywotność; ale niezależnie od tego łatwo zauważyć, że argument głoszący konieczność pierwszej przyczyny nie może posiadać żadnej wartości.

W młodych latach, gdy rozmyślałem bardzo poważnie nad tymi zagadnieniami, godziłem się przez długi czas na argument pierwszej przyczyny; ale pewnego dnia, mając osiemnaście lat, przeczytałem Autobiografię Johna Stuarta Milla i znalazłem tam następujące zdania:

„Ojciec mój pouczył mnie, że na pytanie: Kto mnie stworzył? – nie można dać odpowiedzi, gdyż bezpośrednio potem wyłania się nowe pytanie: Kto stworzył Boga? To proste zdanie wykazało mi zwodniczość argumentu pierwszej przyczyny. Jeśli wszystko musi mieć przyczynę, to Bóg musi ją mieć również. Jeśli może być coś bez przyczyny, może to być równie dobrze świat, jak Bóg, tak że argument ten jest zupełnie bezwartościowy. Jest on równoznaczny z poglądem indyjskim, według którego świat spoczywa na słońcu, a słoń na żółciu; gdy zaś pytano: A żółw? – Hindus odpowiadał: Może byśmy tak zmienili

tym domu. Dość tego!”

Z tą myślą ubierałem się szybko, aby przygotować mój jedyny odwet. Nikt nie widział, co robię. Ubrałem się szybko i bez słowa wyszedłem, zatrzasnąwszy głośno drzwi za sobą. Na schodach zauważyłem, że popełniłem dwa wielkie błędy. Zapomniałem wziąć trochę pieniędzy, które pozostawiłem na stole. Drugi błąd był jeszcze większy. Zapomniałem w pośpiechu i zdenerwowaniu zabrać zimowy płaszcz. Zbyt dumny, aby wrócić, postanowiłem wyjść bez płaszcza i bez pieniędzy. „Moja śmierć z głodu i zimna będzie słuszniejszą dla nich karą” – myślałem. Wyszedłem bez śniadania. Na dworze był mróz. Zimny wiatr dał przez ulicę Kazimierza, a ja marzłem. Głodny, zziębnięty, ciągle jeszcze czujący razy ojca na swym ciele, pełen nienawiści i upokorzenia, nie mogłem myśleć jasno i nie wiedziałem, co począć. Obraz ciepłego pokoju i smak gorącej kawy i świeżych bułeczek tańczył przed mymi oczyma. Usłyszałem głos za sobą:

„Zwariowałeś, że chodzisz bez płaszcza w taki dzień, jak dzisiaj? Zaziębisz się”. Był to kolega ze szkoły publicznej, dobry chłopiec, gruby i niezbyt mądry.

„Postanowiłem zahartować się i chodzić codziennie pół godziny bez płaszcza. Słyszałem, że jest to bardzo zdrowo. Miałem coś kupić i zapomniałem pieniędzy. Czy możesz mi pożyczyć dziesięć centów?”

Włożył rękę do kieszeni i wyjął drobne. Znalazłszy dziesięciocentówkę wręczył mi ją. Szybko ją schowałem.

„Dziękuję. Wkrótce ci oddam. Teraz muszę lecieć. Jest zimno”.

W najbliższym sklepie kupiłem dwie bułki za dwa centy, wszedłem do bramy domu i zjadłem swe śniadanie. Miałem jeszcze osiem centów w kieszeni. Chociaż głód się zmniejszył, zimno było nieznośne. Ręce i twarz moja z koloru białego przeszły w czerwony, a potem w kolor niebieskofioletowy. Musiałem zdecydować się, co zrobić. Miałem jednego przyjaciela, któremu mógłbym opowiedzieć tę historię i na którego sympatię – jak mi się wydawało – mogłem liczyć. Poszedłem do niego, a raczej polecałem, aby się dowiedzieć od gospodyni, że nie ma go w mieście i że wróci dopiero o szóstej po południu. Była to godzina dziewiąta rano. Dziewięć godzin czekania! Co z nimi zrobić? Nie mogłem chodzić ulicami. Zimno i wiatr były nie do zniesienia. Uszy moje były już bez czucia. Zastanawiając się nad tym zagadnieniem

pocierałem uszy skostniałymi rękami. Gdybym bodaj miał ciepłe rękawiczki! Świadomość, że moi rodzice są nieszczęśliwi i nie wiedzą, gdzie ja jestem, dodawała mi sił. Jeszcze czułem na swojej skórze uderzenia ojca.

Gdzie pójść teraz? Nagle wpadł mi pomysł. Blisko była biblioteka żydowska z czytelnia, duża, ciepła, i otwierano ją o godzinie dziewiątej rano. Tylko pięć minut drogi od miejsca, gdzie się znajdowałem. Byłem ocalony. Trzymając ręce w kieszeniach leciałem przez ulicę Dietla, skręciłem na Krakowską ku zdumieniu przechodniów. Wszedłszy do czytelnicy wziąłem do ręki ciężką książkę starając się ją czytać. Ale nieuporządkowane myśli przeszkadzały mi nieustannie. „Teraz już nie zmarznę. Tutaj jest ciepło. Nie umrę z głodu. Mam osiem centów, tzn. osiem centowych bułek. Mogę łatwo obejść się bez wszystkiego innego do godziny szóstej po południu, kiedy otworzę swe serce przed przyjacielem”.

Jak bardzo potrzebowałem wypowiedzieć się przed kimś! Jeszcze osiem godzin! Moja złość i nienawiść zaczęły topnieć w ciepłe promieniującym z pieca. Zaczęło się od mojej matki. Tak, mój ojciec powinien być ukarany. Ale ja raczej karzę moją matkę aniżeli ojca, który jest silniejszy i na pewno mniej się przejmuję.

„Moja matka się niepokoi. Nie wie, gdzie jestem. Wie tylko, że uciekłem z domu bez płaszcza. Teraz myśli o mnie i płacze”.

Ale szybko moje myśli zwróciły się w przeciwnym kierunku. O czym myśli moja matka, jeżeli płacze? O tym, że Bóg ukarał ją złym synem. Dlaczego jestem zły? Dlatego, że się nie modliłem. Dlaczego muszę się modlić, jeżeli to jest bezsensowne? Czy muszę oszukiwać siebie, aby zadowolić ojca? Dlaczego nie mogę opuścić domu i żyć, jak żyje mój przyjaciel? Moglibyśmy mieć wspólny pokój. Mam trochę oszczędności w banku zarobionych lekcjami, które dawałem słabym uczniom. Będzie to wystarczające na pierwsze dwa miesiące. Mogłbym zarobić więcej. Ale moja książeczka bankowa jest w kasie ogniotrwałej mego ojca i nie otrzymam jej teraz. To wszystko jest beznadziejne. Muszę czekać, aż zobaczę mego przyjaciela. Miałem nadzieję, że on powie mi: „Zostań ze mną przez następne kilka tygodni i jakoś damy sobie radę”.

Wreszcie dziewięć godzin czekania mam poza sobą. Dziesięć bu-

wa, uwidoczony w kalendarzach i podręcznikach geografii, gdzie powiadają, że ludność Ziemi dzieli się na chrześcijan, mahometan, buddystów, bałwochwalców itd. W tym sensie jesteśmy tutaj wszyscy chrześcijanami. Podręczniki geografii zaliczają nas hurtem do tej kategorii, ale w znaczeniu czysto geograficznym, które możemy śmiało pominać.

Sądzę więc, że w trakcie wyluszczenia wam, dlaczego nie jestem chrześcijaninem, muszę wyjaśnić dwie rzeczy: po pierwsze – dlaczego nie wierzę w Boga i nieśmiertelność; a po drugie – dlaczego nie uważam Chrystusa za najlepszego i najmądrszego z ludzi, chociaż przyznaję mu bardzo wysoki stopień doskonałości moralnej.

Gdyby nie uwieńczone powodzeniem wysiłki niedowiarków w przeszłości, nie mógłbym dzisiaj przyjąć tak elastycznego określenia chrześcijaństwa. Jak już mówiłem, wyraz ten w dawnych czasach miał bardziej sprecyzowane znaczenie.

Obejmował on na przykład wiarę w piekło. Wiara w wieczny ogień piekielny była zasadniczym artykułem chrześcijańskiego wyznania wiary aż do najnowszych czasów. W Anglii, jak wiecie, przestała być ważnym artykułem wiary na mocy decyzji Rady Koronnej. Arcybiskupi Canterbury i Yorku byli przeciwni temu postanowieniu, ale ponieważ w tym kraju sprawy religijne rozstrzyga się za pomocą uchwał parlamentarnych, Rada Koronna mogła przejść do porządku dziennego nad opinią Ich Eminencyj i wiara w piekło przestała być dla chrześcijanina konieczna. Nie będę więc obstawał przy tym, że chrześcijanin musi wierzyć w piekło.

#### ISTNIENIE BOGA

Kwestia istnienia Boga jest obszernym i poważnym zagadnieniem, i gdybym miał pokusić się o jego wyczerpujące przedstawienie, byłbym zmuszony trzymać was tutaj aż do końca świata. Musicie mi więc wybaczyć, że potraktuję je w cokolwiek sumaryczny sposób.

Kościół katolicki podał jako dogmat, że można udowodnić istnienie Boga posiłkując się tylko rozumem. Dogmat ten jest dość osobliwy, niemniej jednak zalicza się do dogmatów katolickich. Kościół musiał go ustanowić, ponieważ w pewnym okresie wolnomyśliciele nabra-

Bertrand Russell

**Dlaczego nie jestem chrześcijaninem**

## KTO JEST CHRZEŚCIJANINEM?

Najlepiej może będzie, jeśli przede wszystkim spróbujemy zrozumieć, co oznacza słowo „chrześcijanin”. Wiele osób używa go obecnie w bardzo szerokim znaczeniu. Niektórzy nadają tę nazwę każdemu, kto stara się prowadzić przykładowy żywot. Przypuszczam, że przyjmując taką interpretację, znaleźlibyśmy chrześcijan we wszystkich sekcjach i wyznaniach; ale nie uznaję jej za właściwą choćby z powodu zawartego w niej domniemania, że wszyscy ci, którzy nie są chrześcijanami – a więc buddyści, wyznawcy Konfucjusza, mahometanie itd. – nie starają się żyć przykładowie.

Nie uważam za chrześcijanina każdego człowieka, który stara się żyć przyzwoicie, stosownie do stopnia swojej mądrości. Sądzę, że należy posiadać pewną sumę określonych wierzeń, jeśli się chce mieć prawo do miana chrześcijanina. Słowo to nie ma teraz tak wyraźnego znaczenia, jak za czasów św. Augustyna i św. Tomasza z Akwinu. Jeśli kto mówił wtedy, że jest chrześcijaninem, wiadomo było, co przez to rozumie. Chrześcijanin uznawał całą serię wierzeń sformułowanych z wielką ścisłością i wierzył niezłomnie w każdą ich sylabę.

Dziś to się zmieniło. Nasze pojęcie chrześcijaństwa musi być trochę bardziej mgliste. Sądzę jednak, że istnieją dwa artykuły wiary niezbędne dla każdego, kto mieni się chrześcijaninem. Pierwszy jest natury dogmatycznej, a mianowicie: powinno się wierzyć w Boga i nieśmiertelność. Jeśli kto nie posiada tej wiary, to nie sądzą, aby nazwa chrześcijanina była dla niego właściwa. Dalej, jak na to sam termin wskazuje, należy mieć pewne wierzenia dotyczące Chrystusa. Mahometanie na przykład wierzą również w Boga i nieśmiertelność, a jednak nie uznaliby się za chrześcijan. Wydaje mi się, że co najmniej trzeba wierzyć, iż Chrystus był, jeśli nie Bogiem, to w każdym razie najlepszym i najmądrszym z ludzi. Kto odmawia Chrystusowi tego minimum, ten nie ma, moim zdaniem, żadnego prawa mienić się chrześcijaninem. Naturalnie, jest jeszcze inny sposób pojmowania tego sło-

lek zjedzonych i dziesięć centów wydanych. Przed szóstą po południu poszedłem do mego przyjaciela. Było bardzo zimno, chociaż wiatr był słabszy. Czekałem w jego pokoju pół godziny, patrząc przez zamrażniętą szybę na ulicę i myśląc, że nigdy już nie skończy się moja samotność. Nagle ujrzałem jego sylwetkę skracającą ze Stradomia na Dietla. Gdy otworzył drzwi, zacząłem głośno płakać. „Uspokój się na miły Bóg. Co ci się stało?” Dowiedział się z mego chaotycznego, przerywanego łkaniem opowiadania, że miałem trudności w domu i uciekłem stamtąd.

„Uspokój się; przygotuję herbatę i opowiesz mi spokojnie swoją historię”.

Postawił na stole dwie szklanki herbaty, chleb, masło, ser, jedzenie, które wydawało mi się szczytem luksusu i za którym tęskniłem cały dzień. Mieszając łyżę z gorącą herbatą, opowiedziałem mu historię mego długiego dnia.

Mój przyjaciel rozpoczął ojcowskie przemówienie: „Szkoda, że mnie tutaj dzisiaj nie było. Nigdy bym nie pozwolił na to, coś zrobić. Rozumiem dobrze, co czujesz, ale musisz również wejść w położenie swego ojca. Mój ojciec postąpiłby identycznie i nigdy nie wpadłoby mi do głowy, aby z tego powodu uciec z domu. Gdybyś usprawiedliwił się, przeprosił i powiedział kilka grzecznych słów, cała heca byłaby zakończona. Najlepiej zrobisz, jeżeli wrócisz zaraz do domu, przeprosisz rodziców i zakończysz w ten sposób tę historię. Dlaczego nie starasz się patrzeć na to z punktu widzenia twego ojca?”

Uparcie odmówiłem.

„Nigdy w życiu nie będę przeproszał rodziców za to, że nie byłem hipokrytą. Nie wrócę. Nie chcę wracać za nic na światło. Jeżeli nie pozwolisz mi przenocować u siebie, to przenocuję na ulicy, ale nie wrócę. Nie pójdę do domu”.

Mój przyjaciel starał się mnie uspokoić i zapewniał mnie, że mogę zostać u niego przez noc. Była to pierwsza moja noc z dala od domu rodzinnego. Zmęczony ciężkim dniem spałem dobrze. Z rana czułem się spokojniej i lepiej. Było to dla mnie nawet pewną przyjemnością przygotowywanie śniadania i udział w niezależnym, samodzielnym życiu. Mój przyjaciel stanowczo był zdania, że powinienem wrócić do domu. Widziałem, że nie mam innego wyjścia. Jednak nie zmieni-

łem jednej ze swoich decyzji: nie będę się usprawiedliwiał i nie będę przeproszał. „Jeżeli będą chcieli, abym ich przeprosił, to znowu opuszczę dom, ale tym razem zabiorę płaszcz ze sobą”.

To było tanie bohaterstwo. Wiedziałem, że nikomu nie będzie zależało na przeprosinach i że matka jest śmiertelnie zaniepokojona. Postanowiliśmy pójść razem. Mój przyjaciel zapewniał mnie, że porozmawia z rodzicami, zanim odda zagubionego syna.

Drzwi otworzyła nam matka. Była blada, a oczy jej były otoczone sinymi obwódkami. Prosiła mnie, abym wszedł, i nic więcej nie powiedziała. Przemówienie mego przyjaciela zredukowało się do jednego zdania:

„Tutaj jest Leopold. Spędził noc u mnie”. Bardzo zmieszany, natychmiast wszedł.

Matka była zbyt zdenerwowana, aby okazać mi wiele ciepła, i bardzo bała się, że może mnie dotknąć niebaczonym słowem. Dlatego nic nie mówiła, ale postawiła na stole wszystkie specjały, jakie miała w domu, aby mi wynagrodzić dzień poprzedni. Ojciec był bardzo przygnębiony. Gdy go spotkałem, nie powiedział ani słowa i przez następne dni nie mówiliśmy do siebie. Traktowany byłem w domu jak człowiek obcy. Mój obrzydliwy dziadek chodził po pokoju mruczając do siebie: „Gdyby to był mój syn, to połamałbym mu wszystkie kości i nie wpuściłbym go więcej do domu”.

Moja starsza siostra uważała, że postąpiłem haniebnie, i w przystępie gniewu nazwała mnie „włóczęgą nocnym”. Tylko młodsza siostra i służąca okazywały mi swoją sympatię, opowiadając, jak usiłowały mnie odszukać i dać mi mój płaszcz.

Pierwsze usiłowanie, aby rozproszyć ową ponurą atmosferę domową, przyszło od strony ojca. Rozpoczęło się trywialnymi uwagami na temat mięsa.

Wyczuwałem u niego chęć przywrócenia spokoju domowego, ale postanowiłem nie poddawać się. Ostentacyjnie, niemal okrutnie, unikałem wszystkich powinności religijnych, w obronie których mój ojciec zbił mnie. Myślałem dogmatycznie: „Teraz mój ojciec zgadza się z moim zachowaniem i mało go ono martwi. Więc po co była ta cała awantura? Czy jest on sadystą, który musi bić syna bez powodu?”

Tydzień, czy też dwa upłynęły od mego powrotu do domu. At-

gdy patrzemy na niebo gwiazdziste lub przez mikroskop na bakterie – słowo bez racjonalnego pokrycia.

Jakżeż się to dzieje, zastanawiałem się często, że wielu naukowców, przyrodników, fizyków jest religijnych? Pamiętam, że gdzieś czytałem (czy nie u Anatola France’a?) o rozmowie pomiędzy dwoma lekarzami naukowcami; jeden z nich wierzy, drugi jest ateistą. Ateista zwraca się do wierzącego:

„Jakże ty jako lekarz możesz wierzyć w cud niepokalanego poczęcia?”

Na to ów wierzący: „Czy naturalne poczęcie nie jest większym cudem?”

W tym pytaniu i odpowiedzi widzimy tę samą dwuznaczność w określeniu słowa „cud”, o którym była poprzednio mowa. Ateista używa słowa „cud” w sensie czegoś, co łamie prawa przyrody. Wierzący używa słowa „cud” jako istnienie praw trudnych do zrozumienia, ale zawsze obowiązujących przyrodę.

Ten dialog jest więc sofistyką, która nie daje odpowiedzi na pytanie, dlaczego inteligentni ludzie nauki wierzą. Nie sądzę, aby istniała racjonalna odpowiedź na to pytanie. Sprawy religii są na ogół zamknięte w szufladach mózgowych i trudny jest do nich dostęp. Jako młody człowiek próbowałem niejednokrotnie dyskusji na ten temat. Przechodziły one z natury rzeczy w sferę emocji, w której argumenty rozumowe zawodzą. Teraz dyskusji takich nie podjąłbym. Rozumiem bowiem, że obydwa zdania: „Bóg istnieje” oraz: „Bóg nie istnieje”, są pustymi zdaniami, bez treści racjonalnej. Poza tym wiek oraz współpraca z Einsteinem nauczyły mnie tolerancji dla cudzych poglądów.

Nie chodzi mi o atakowanie religii, zależy mi – w tym, co piszę – na czymś innym: na obronie mego stanowiska. Na wytłumaczeniu, dlaczego w moim wypadku odwróciłem się od religii. W pisaniu tych stron czerpałem ze wspomnień osobistych, które spisałem 20 lat temu, gdy byłem w USA i w Kanadzie. Pragnę, aby w okresie kiedy nietolerancja religijna się zwiększa, moje stanowisko ateistyczne było tolerowane. Wiem, że nietolerancja jest sprawą wielu milionów ciemnych ludzi. Wiem, że moje słowa dotrą zaledwie do kilku tysięcy. Z tych przekonać potrafię tylko kilku. Dla tych kilku napisałem te słowa.

zyce ukochałem ścisły charakter jej rozumowań; wydawało mi się cudowne, że tyle skomplikowanych faktów można było wydedukować z kilku prostych zasad.

Zacząłem wierzyć w istnienie praw natury zawsze i wszędzie. Przypominam sobie żywo zdanie w jednej z książek Poincarégo, które podówczas pochłaniałem: „Największym cudem na świecie jest to, że cuda się nie zdarzają”. W tym zdaniu słowo „cud” użyte jest w dwóch przeciwnych znaczeniach. Raz jako coś, dzięki czemu złamać można prawo przyrody, a drugi raz jako coś, dzięki czemu prawa przyrody nie mogą być nigdy gwałcone. Tutaj będę używał słowa „cud” w pierwszym, bardziej pospolitym znaczeniu, jako określenie czegoś, dzięki czemu można złamać prawa przyrody.

Wiara w religię wiąże się z wiarą w cuda, z wiarą w możliwość przełamania praw przyrody. Religia bez cudów to religia bez zmartwychwstania – które oczywiście byłoby cudem największym – to religia bez życia pozagrobowego, bez piekła i bez nieba, w której zasady etyczne nie obumierają, bo one czynią życie społeczeństwa prostsze i wygodniejsze, a nie dlatego, że Bóg notuje buchalteryjnie koszt grzechów i cnót każdego z nas. Cóż pozostaje z takiej religii? Czy religia bez Boga osobowego, który miesza się nieustannie w nasze życie codzienne, zasługuje na nazwę religii? Spinoza i Einstein odpowiedzieli na to pytanie: tak. Dla nich właśnie wiara w niezłomne prawa rządzące wszechświatem jest religią, wiarą w Boga. Tutaj znowu pojęcie Boga występuje w dwóch przeciwstawnych znaczeniach. Raz jako Bóg-osoba, która nagradza i karze. Drugi raz jako coś, co nie może ani nagradzać, ani karać – jako wszechświat rządzący się niezłomnymi prawami. Oczywiście wiele jałowych dyskusji polega na tym, że pojęcia w nich użyte są źle zdefiniowane. Rozważmy najpierw pojęcie Boga w tym pierwszym, nie Einsteinowskim znaczeniu, jako Boga osobowego.

Jeżeli takie pojęcie Boga łączymy ze sprawą religii, a sprawę religii ze sprawą wyznania, to trzeba powiedzieć to wyraźnie, dogmaty tego wyznania są równie sprzeczne z nauką dzisiaj, jak były w czasach Kopernika i Galileusza. A jak z pojęciem Boga Spinozy i Einsteina? Kiedy Napoleon zapytał się Laplace’a, dlaczego w jego pięciotomowym dziele nie ma słowa „Bóg”, odpowiedział mu: „Ta hipoteza była mi niepotrzebna”. Istotnie, jest to słowo wyrażające metafizyczne emocje,

atmosfera była jeszcze ciągle napięta. Mieliśmy kolację, podczas której siedziałem milczący, wpatrzony w talerz, myśląc, że jestem jednak inny od mego otoczenia. Mój ojciec wyjął z kieszeni małe zawiniątko i nieśmiało gestami – w przeciwieństwie do swej zwykłej pewności siebie – powoli je odpakował. Byłem zainteresowany tym, co ojciec robił: odłożył na bok brunatny papier i sznurek, którym paczuszka była związana. Równocześnie widziałem twarz matki promieniejącą radością. Wewnątrz paczuszki była biała bibułka. Gdy i tę rozwinął, ukazały się trzy ładne, nowe jedwabne krawaty.

„Zauważyłem, że twój krawat jest zniszczony, i kupiłem ci nowe”. To była iskra, która wyrównała różnicę potencjałów pomiędzy nami. Podziękowałem ojcu, a on powiedział po prostu: „Noś je długo i zdrowo”. Od tego czasu spokój zapanował w naszym domu.

Dlaczego mój ojciec zmienił swe postępowanie wobec mnie? Dlaczego jego czułość i miłość do mnie wzrastały z latami? Dlaczego później pomagał mi obrać drogę tak różną od tej, którą pierwotnie wyznaczył swemu jedynemu synowi?

Mam wrażenie, że dzisiaj znam odpowiedź na te pytania. Jestem przekonany, że mój ojciec, gdyby miał ku temu możliwości, byłby lepszym naukowcem aniżeli ja. Bez znajomości jakiegokolwiek teorii często rozwiązywał nasze zadania matematyczne za pomocą mądrych trików. Sam posiadał zaledwie cztery klasy szkoły powszechnej. Gdy raz podczas kąpieli wytłumaczyłem mu zasadę Archimedesesa, i dlaczego nasze nogi wydają nam się krótsze w wodzie, zrozumiał wszystko świetnie i obmyślał inne zastosowanie zasad, których się właśnie nauczył. Życie jego było ciężkie i bunt był beznadziejny. Gdy pogodził się z warunkami swego życia, starał się przekonać sam siebie, że były one znośne, a nawet dobre. Było mu to potrzebne, by czuł się zadowolony i szczęśliwy. Mój bunt wzbudził w nim wątpliwości, myśli o jego własnych zaprzepaszczonej możliwościach. Złość i okrucieństwo przeciwko mnie były reakcją początkową. Potem nastąpiła zmiana. Widział w mojej walce odbicie swych nie spełnionych marzeń. Zdawało mu się, że ja może osiągnę to, co powinno być jego udziałem. Nawet i później jego stosunek do mnie wahał się w górę i w dół na linii falowej tych dwóch sprzecznych emocji. Ale w bardzo nielicznych wypadkach złość i rozzarowanie były większe od dumy i przyjaźni.

Nauczają nas: „Słuchaj ojca i matki, bo oni chcą twego szczęścia”. Z większym usprawiedliwieniem mógłbym powiedzieć: „Buntuj się przeciwko ojcu i matce, a uszczęśliwisz ich”.

### III

W jednej z popularnych książek, które pochłaniałem w tym okresie (o ile sobie przypominam, była to książka Kramsztyka), czytałem o Galileuszu, który wszedłszy do kościoła zobaczył tam wahający się lichtarz. Galileusz był podówczas chłopcem 17-letnim. Porównał on rytm swego pulsu z rytmem drgającego lichtarza i stwierdził, że okres wahań jest stały, chociaż amplituda jest coraz mniejsza. Narodziło się wówczas nowe prawo przyrody: niezależność okresu oscylacji od amplitudy. Jeżeli Galileusz widział w prawach przyrody piękno, które jest odbiciem boskiej glorii, to ekstaza z powodu zrozumienia tego prawa musiała być tysiącrotnie większa aniżeli ta, która towarzyszy kontemplacji religijnej.

W tej samej książce (o ile mnie pamięć nie myli) widziałem obraz pochyłej wieży w Pizie. Szedłem za Galileuszem na szczyt owej wieży, widziałem nieomal, jak z niej zrzuca ciężkie przedmioty, aby stać się pierwszym człowiekiem na naszej planecie, który zrozumiał, że wszystkie przedmioty, niezależnie od swego ciężaru, spadają w tym samym czasie, jeśli są zrzucane z tej samej wysokości. To prawo tak proste, że nieomal oczywiste, odkryte zostało dopiero 300 lat temu! Dowiedziałem się, że te i inne prawa są częścią fizyki, która zajmuje się przyrodą nieożywioną.

Pewnego razu przyjechał do mnie kuzyn z Nowego Sącza. Jego matka przysłała go do wielkiego Krakowa, aby zobaczył stolicę Galicji w nagrodę za to, że zdał maturę. Ponieważ sam do gimnazjum nigdy nie chodziłem, ciekawy byłem jego wrażeń i zapytałem się go, czy i jak lubi fizykę. Odpowiedział:

„Fizyka i matematyka to były najnudniejsze przedmioty. Zapomniałem wszystko, czego się o nich nauczyłem, w godzinę po maturze. Nawet biologia była lepsza. Fizyka i matematyka nigdy mnie nie interesowały. Ale był u nas jeden na wpół wariat, który był geniuszem w tych przedmiotach. Kupił sobie trzy wielkie tomy fizyki i umiał prawie

tylko, co nauczyciel”.

Byłem zdumiony. Czy jest dość na świecie nauki o fizyce, aby nimi zapełnić trzy wielkie tomy? Mógłbym kupić owe trzy tomy i nauczyć się absolutnie wszystkiego z fizyki. Zapytałem kuzyna, czy nie zna nazwiska autora. Tak, zna. Były one pisane przez A. Witkowskiego, profesora uniwersytetu w Krakowie.

Następnego dnia wybrałem się na ulicę Szpitalną, szukając owych książek po antykwariatach. Znalazłem trzy ciężkie, grube tomy i po długich targach stały się one moją własnością. Nie miałem pojęcia, że wiozę do domu piękne dzieło, w którym zasady fizyki wyjaśnione są z mistrzowską precyzją i jasnością, że był to podstawowy podręcznik fizyki doświadczalnej ówczesnego okresu.

Czytanie szło ciężko. Mało było tam historyjek, obrazków, mało technicznych szczegółów; tylko zasadnicze prawa i zasadnicze dowodzenia. Po dwudziestu stronach utknąłem. Ukazały się symbole  $\sin.$ ,  $\cos.$  Nie wiedziałem, co one znaczą. Dowiedziałem się, że aby zrozumieć fizykę, trzeba posiadać głębszą znajomość matematyki niż moja. Znowu wybrałem się na ulicę Szpitalną w poszukiwaniu podręczników matematyki.

Z radością i bólem posuwałem się wolno poprzez stronicę tej książki. Owe stronicę pozwoliły mi zbudować nieprzebyty mur wokół siebie. Widziałem w nauce ucieczkę przed rzeczywistością, źródło rozkoszy i przyjemności, o których istnieniu nie miałem poprzednio pojęcia.

Oдноśniki z tych książek prowadziły mnie do nowych ścieżek.

Zacząłem gromadzić biblioteczkę książek fizyczno-matematycznych. Wszystkie pieniądze, które otrzymywałem od rodziców lub które zarabiałem lekcjami, wydawałem na książki. Powoli rozumiałem, że nauka to nie księga zamknięta, ale organizm pulsujący życiem, zmienny i rozwijający się nieprzerwanie. Powoli rozumiałem, że oto uzyskałem pierwsze, pobieżne i zamglone, spojrzenie na wielką i piękną ziemię obiecaną. Pragnąłem się uczyć fizyki i zostać fizykiem.

Nigdy nie przyciągała mnie do fizyki jej strona inżynierska. Nigdy w swym życiu nie wykrzesalem żadnych zdolności mechanicznych. Moje ręce nigdy nie pracowały – wstydę się przyznać. (Jestem zawsze tak gotowy wstydzić się mych próżnujących rąk, że podejrzewam siebie, iż jestem dumny z tego, że rąk moich pracą nie splamiłem). W fi-